



**Prenumerata wynosi:** w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji Kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — (W tej summie mieści się cena pisma, porto i opakowanie) w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

**Treść Numeru.** Król Lir Tragedja Szekspira w pięciu aktach, przetłómaczona wierszem rymowym przez Adama Pluga. — Kilka słów o kobietach przez Elizę Orzeszkową. Korespondencja z Lwowa. — Natalia Borysówna Dolgorukowa powieść p. Furnanna. — Stowarzyszenie w Cesarstwie. — Wiadomości gospodarskie.

**KRÓL LIR**

**TRAGEDJA SZEKSPIRA W PIĘCIU AKTACH**

PRZETŁÓMACZONA WIERSZEM RYMOWYM

PRZEZ

**Adama Pluga.**

(Dalszy ciąg).

**AKT II.**

**Scena I.**

*Dziedziniec w zamku Glostera.*

(Edmund i Kuran dworzanin wchodzą ze stron przeciwnych).

*Edmund.*

Kuran tu! Witam ciebie!

*Kuran.*

I ja ciebie panie!  
Byłem u twego ojca z wieścią niespodzianą,  
Że książę Kornwalijski wraz z księżną Reganą  
Dostojną swą małżonką, dziś tu na noc stanie.

*Edmund.*

Cóż za powód?

*Kuran.*

Nie zgadnę... Wiesz, jaka po świecie  
Kraży dzisiaj nowina, a raczej wieść głucha; —  
Bo dotychczas to tylko szept się do ucha?

*Edmund.*

Cóż to jest? powiedz proszę?

*Kuran.*

Słyszeliścież przecie  
O tej wojnie, co bodaj rychło się zapali  
Między księciem Albanji a księciem Kornwalji.

*Edmund.*

Ani słowa!

*Kuran.*

To kiedyś jeszcze posłyszycie...  
Żegnam was! (wychodzi).

*Edmund.*

Książę dziś tu!.. dobrze, wysmienicie!  
Samo się to przemocą w mą robotę wplata!..  
Ojciec czaty rozstawił, żeby pojmać brata,  
A ja żeby się złatwić z tą drażliwą sprawą,  
Muszę jeszcze coś zrobić... Daléj! zrzęcznie! żwawo!..

(wola).

Bracie! mam coś powiedzieć!.. Ohodź tu prędjéj,  
bracie!

(Edgar wychodzi).

Uciekaj ztąd natychmiast! ojciec czyha na cię!  
Wie już gdzie się ukrywasz!.. spiesz, noc cię ocali!..  
Czyś nie rzekł czasem czego na księcia Kornwalji?..  
Ma zjechać tutaj zaraz... nagle... w nocnej dobie!..  
Z nim Regana!.. Przypomnij, czy się też przypadkiem

Niebaczne jakie słówko nie wymknęło tobie  
O ich zajściu z Albańskim?

*Edgar.*

Nigdy! Bóg mi świadkiem!

*Edmund.*

Ha! ojciec idzie!.. wybacz!.. by go wywieść w pole,  
Wpadnę z mieczem na ciebie, ty na mnie; graj rolę,  
Jak gdybyśmy bój krwawy wiedli nie na żarty;  
A sprawiaj mi się dobrze! (Uderza z mieczem na Edgara,  
wolając głośno)

Poddaj się, uparty!

Pójdź do ojca! hej! światła! (ciszej) Nuże! za pas  
nogi,  
I zmykaj! — (głośno) światła prędjéj!.. (Edgar wychodzi)  
(ciszej) Bądź zdrów, bracie drogi!

(na stronie)

A jak tu jeszcze nieco krwi upuszczę sobie,  
To tem na większą wdzięczność u ojca zarobię,  
(rani się w rękę)

Widziałem lepsze sztuki śród pianej biesiady,

(wola)

Stój zbrodniu!.. ojce! ojce! ha! nie ma już rady!..  
(wchodzi Gloster i służba z pochodniami).

*Gloster.*

Gdzież jest ten łotr, Edmundzie?

*Edmund.*

Stał tu w mroku nocy,  
Z mieczem dobytym, mrużąc bezbożne zaklęcia  
I złe duchy wzywając sobie ku pomocy...

*Gloster.*

Gdzież on jest?

*Edmund.*

Patrz! krwią broczę! to od jego cięcia.

*Gloster.*

Gdzież ten nędznik, Edmundzie?

*Edmund.*

Umknął ot tą drogą!

Kiedy spostrzegł że żadne namowy nie mogą..

*Gloster.*

Hej! za nim! w pogoń!.. Co? jakie namowy?

*Edmund.*

Namawiał bym cię zabić, panie miłościwy!  
Ale, kiedy mu rzekłem, że gniew bogów mściwy  
Wszystkich gromów swych ogniem ojcobojców sięga  
Gdym przedstawił, jak wielka, jak święta potęga  
Tych węzłów, które z ojcem wiążą jego dziecko,  
Widząc, jakim się gniewem, jakim wstrętem burzę  
Na te jego zamysły, przeciwne naturze,  
Wściekły, z mieczem dobytym rzucił się zbójcecko  
Na mnie, com stał bezbronny! ręką się zastonił,  
Miecz spadł i ostrą klingą w kość moją zadzwonił;  
Lecz gdy spostrzegł, jak chyżo, zrazu przerażony,  
Duch się we mnie zapalił, jakem, świętą sprawą  
Przejęty, śmiało stanął do mężnej obrony,  
Czy też wszczętą, przezemnie nastraszonej wrzawą,  
Nagle uciekł.

*Gloster.*

O! niechże najdalej ucieka!

W tym kraju nie popasie długo, nie pojmany,  
A pojmany nie długo na stryczek poczeka!  
Szlachetny książę Pan mój, zwierzchnik ukochany  
I protektor, przybędzie tu dziś na noc jeszcze;  
W imię jego po całej krainie obwieszczę,  
Ze mą łaskę i dary dostanie w podzięce,  
Kto tego tchórza, zbójcę, wyda w moje ręce!  
Aby pod miecz katowski poniósł podłą szyję;  
A śmierć! śmierć! zuchwalcowi, który go ukryje!

*Edmund.*

Gdym mu radził i prosił, by zmienił swe zdanie,  
A widząc, jako przy niem stoi upoczywie,  
Zaklął się, że przeze mnie wydanym zostanie;  
On mi na moje groźby odparł pogardliwie:  
„Ty hołysz! podrzutku! alboż ci się roi,  
Że gdy kłamstwo ci zadam, to, choć w skardze  
twojej

Najwięcej prawdy, cnoty i szczerości będzie,  
Ktoś ci bodaj na jotę da wiary w tym względzie?  
O, nie! skoro zaprzeczę, — a z czołem zuchwałem  
Przeczyć będę, chociażbyś i czarno na białem  
Własnoręczne me na to stawiał dokumenta, —

Wnet się każdy przekona, że to podstęp, zdrada,  
Że to twoja w tem wszystkim intryga przekłeta!  
I wprzódyś musiał zmienić świat w głupca nie lada,  
Nimbyś mu wybił z głowy, choć na jedną chwilę,  
Że w méj śmierci dla ciebie jest pożytku tyle,  
Iż łatwo, podżegnięty przez podłą rachubę,  
Możesz się najbezczelniej kusić o mą zgubę?

*Gloster.*

A to łotr wielkiej ręki! Śmiał żeby nikczemnie  
Wyprzedzić się swego listu?!.....

Słyszysz? trąby! to książę przybywał..  
Co go tutaj przywiodło? niezgadną... Wnet każę  
Zatarasować bramy i rozstawić strażę,  
By się ztąd nie wymknęła żadna dusza żywa; —  
Książę na to zezwoli; — a na wszystkie strony  
Rozeszle wizerunek podłego wyrodka,  
By tem łatwiej poznany był i pochwycony.  
Co do ciebie, poszukam skutecznego środka,  
Mój ty wieray i szczerzy chłopcze, byś jak prawy  
Syn mój, po mnie dziedziczył wszystkie me dzierżawy.

(wchodzi książę Kornwalji, Regana i dworzanie).

*Ks. Kornwalji.*

Cóż to jest, mój szlachetny przyjacielu stary?!  
Zaledwie tutaj stanął, a już o me uszy,  
Obiły się nowiny prawie nie do wiary!

*Regana.*

O! jeżeli prawda, to nie ma katuszy  
Dość strasznej na zbrodniarza takiego skarani!  
Cóż to jest, powiedz proszę! co tu zaszło, panie?!

*Gloster.*

Ach panie! serce we mnie pękło! pękło serce!

*Regana.*

Jak to?! onżeby dzisiaj wyszedł na mordercę?!  
Na ojcobójcę?! Zgroza! On! ten ukochany  
Syn chrzestny mego ojca! Edgar twój! o nieba!

*Gloster.*

Ach panie! panie! tak jest! z hańbą wyznać trzeba!

*Regana.*

Czy się tylko nie wdawał on z temi dworzany,  
Co orszak mego ojca składają burzliwy?

*Gloster.*

Nie wiem... ach! to okropna! okropna!

*Edmund.*

Nieraz im dotrzymywał wesołej kompanji. Tak panie!

*Regana.*

Nie dziw więc, że się przejął ich zgubnymi wpływy.  
Oni to go popchnęli na tę straszna zbrodnię,  
Aby po śmierci starca hulać z nim swobodnie,  
Kosziem krwawej puścizny... Dziś właśnie wie-  
czorem

Dobną mi o nich siostra przysłała przestroję!  
To też, kiedy mój ojciec z całym tym taborem  
Zechce dom mój najechać, mnie tam nie zastanie.

*Ks. Kornwalji.*

Ani mnie też, Regano! za to ręczyć mogę.  
Edmundzie! a tyś słysz, iście jak syn prawy,  
Usłużył ojcu swemu?

*Edmund.*

Spełniłem swą powinność Miłościwy panie!

*Gloster.*

I, chcąc schwytać zbrodniarza, odniósł ot tę ranę.

*Ks. Kornwalji.*

Czy wysłane pogonie za zbójcą?

*Gloster.*

Wysłane!

*Ks. Kornwalji.*

To dobrze. Raz pojmany, już nikomu więcej  
Złością swą nie zaszkodzi! W smutnej téj potrzebie,  
Wesprę cię całą siłą władzy méj książęcej.  
Co do ciebie, Edmundzie, którego przymioty  
Szlachetne, tak wymownie dziś świadczą za siebie,  
Tyś mój! trzeba mi ludzi doświadczonych cnoty,  
Ciebie najpierw się chwytam.

*Edmund.*

Gdy w tem dość wierności,  
Potrafię służyć wiernie waszój wysokości.

*Gloster.*

O! dzięki ci za niego, panie miłościwy!

*Ks. Kornwalji.*

Nie wiesz, co nas sprowadza?

*Regana.*

W czas tak niewłaściwy,  
W noc ciemną?.. Zaszły u nas, szlachetny Glosterze,  
Sprawy dość wielkiej wagi, w których twojej rady  
Przyjacielskiej zasięgnąć dziś pragniemy szczerze.  
Wszczęły się jakieś dziwne niechęci i zwady  
Między ojcem a siostrą moją ukochaną.  
Ztąd i zowad ze skargą listy mi przysłano,  
Na które, uważałam, że się lepiej stanie,  
Gdy odpowiem nie z domu. Gońce na odprawę  
Tu czekają, my za się na twe zdrowe zdanie.  
Ukoj więc srogą boleść, rozważ oną sprawę  
I radź nam przyjacielu drogi!

*Gloster.*

Służęć pani!  
Wzdyscie mi, ichmość księstwo, goście pożądani.  
(wychodzą)

*Scena II.*

*Przed zamkiem Glostera.*

(wchodzi Kent i Oswald ze stron rozmaitych).

*Oswald.*

Dobrej zorzy wam, bracie! Czyś z dworskiej drużyny  
*Kent.*

Abo co?

*Oswald.*

Gdzie tu konia postawić?

*Kent.*

A w błocie.

*Oswald.*

Powiedz mi, jak mię kochasz, a porzuć te kpiny!

*Kent.*

Kaduk tam ciebie kocha!

*Oswald.*

I ja nie dbam o cię!

*Kent.*

Oj! gdybyś w inném miejscu — był mi zaszedł w drogę,  
Dbałbyś ty o mnie, bratku! za to ręczyć mogę!

*Oswald.*

Jak śmiesz tak mię traktować? ja cię nie znam wcale,  
*Kent.*

Ale ja, mój ty ptaszku, znam cię doskonale!

*Oswald.*

I za kogoż mię bierzesz?

*Kent.*

Za łotra, fagasa,

Za burdę, pieczeniara, tchórze i brudasa,  
Eleganta z królewskiej psiarni, co się stroi,  
Muską, łasi, układa, ale śmierdzi gburem...

*Oswald.*

Okropny ty człowieku! jakże śmiesz tak srodze,  
Lżyć kogoś, co ci nigdy nie stanął na drodze?!  
Nie znasz mię; raz się pierwszy spotkałem z waćpa-  
nem!

*Kent.*

Okropny niegodziwco, ty z czołem miedzianem!  
Jak się ty smiesz wypierać mojej znajomości?  
Wszakżem onegdaj stołka palnął ci kolaniem  
I wygrzmocił cię w obec króla jegomości!...  
Dobądź miecza, ty gburze! chociaż noc zaciemnia,  
Księżyc świeci; przy jego blasku doskonale  
Posiekam cię na zrazy!.. Broń się konowale,  
Ty podły!

*Oswald.*

Precz! nic z tobą nie mam do czynienia!

*Kent.*

Broń się, łotrze, co wozisz na króla potwarze,  
I trzymasz stronę tego próżności bałwana,  
Téj pysznej łątki, przeciw jój ojca i pana!  
Dobądź miecza, bo zaraz tu ci grzbiet wyprażę!..  
Broń mi się tchórze! (dobywa miecza)

*Oswald.*

Gwałtu! aj! zbójca! ratujcie!

*Kent.*

Bij się, podły! stój, śmiałku! czekaj!.. bij się, gburze...  
Broń się, ty wymuskany urwipołciu!.. nuże!

*Oswald.*

Gwałtu! zbójca!!!

(wchodzi Ks. Kornwalji, Regana, Gloster, Edmund  
i służba).

*Edmund.*

Có to jes t? o co idzie? stójcie

*Kent.*

I z tobą też, kochanku? Dobrze gdy życzycie!  
Chodźtu, gładki paniczku, wnet ci dam odprawę!

*Gloster.*

Z bronią! z mieczem! cóż to jest? co za kłótnie krwawe?

*Ks. Kornwalji.*

Stójcie! miecze do pochew, gdy wam miłe życie!  
Kto się porwie raz jeszcze, śmierć mu, zuchwalcowi!..  
Kto jesteście? co powód zwady téj stanowi?

*Regana.*

To są gońce méj siostry i króla, jak widzę.

*Ks. Kornwalji.*

O co rzecz?

*Oswald.*

Tehu mi braknie, panie miłościwy!

*Kent.*

Nie dziw, po takiej męstwa twojego fatydze!  
Ha! ty tchórze nikczemny! czyżes ty człek żywy?..

*Ks. Kornwalji.*

Niech że się dowiem o co poszło wam w téj chwili?

*Oswald.*

Oto ten stary zbójca, któremu z litosci  
Nad siwą jego brodą, jam życie darowałem...

*Kent.*

Ha! ty zawalidrogo! nędzna dziuro w moście!  
Ty trutniu! tyś nad moją brodą się zlitował?  
Panie! pozwól mi tylko, a nieokrzesany  
Chłop ten wnet tu pod nogi zwali mi się z wrzaskiem  
I zdepcę go na wapno i pomieszam z piaskiem...

*Ks. Kornwalji.*

Milez łotrze! znaj należne mi uszanowanie!

*Kent.*

Znam je, ale gniew także ma swe prawa panie,

*Ks. Kornwalji.*

Cóż cię gniewa?

*Kent.*

Że taki, jak ten urwis, może  
Być przy mieczu, choć nigdy nie był przy honorze!..  
Te łaszące się łotry umieją, jak szczury,  
Najmocniejsze, najświętsze węzły przegrzyść snadno  
Których byś nie rozwiązał ludzką siłą żadną!  
Głaszczą w panach swych wszelką krewkość ich  
natury,  
Gdzie lód — śniegu, gdzie ogień — oliwy dodają;  
Przeczą, twierdzą, jak trzeba, a kiedy powionie  
Wiatr pańskiego kaprysu, już ku owéj stronie,  
Jak ten kurek na dachu, wnet się obracają.  
Wszelkiej czei, wszelkiej enoty ludzkiej pozbawione  
Za panem tylko swoim w ślad biega jak psiska!...

*Ks. Kornwalji.*

Czyś oszalał, człowieku?

*Gloster.*

Co ta kłótnia znaczy?

Zkąd wam przyszło do bójkii? to nam powiedz raczej.

*Kent.*

Nie ma tak wstrętnych sobie sprzeczności na świecie,  
Tak ja i ten nikczemnik!

*Ks. Kornwalji.*

Niechajże wiem przecie,

Za co lżysz go? urazy twój jaka przyczyna?

*Kent.*

Dość już, że mi się jego nie podoba mina.

*Ks. Kornwalji.*

Tylko?! a może również ci się nie podoba  
Z miny, moja lub jego, albo jój osoba?

*Kent.*

Szczerłość, to główne życia mego zadanie,  
A więc powiem ci szczerze, miłościwy panie,  
Żem widział swego czasu nieco miłsze twarze,

Niż te, na jakie teraz los mi patrzeć kaze.

*Ks. Kornwalji.*

A to jeden z tych drabów, co, raz pochwaleni  
Za prostaczą otwartość, wnet przebiórą miarę;  
Wnet grubiaństwo, co u nich szczerością się mieni,  
Gwałtem wciągną na siebie, jak jaką maskarę,  
By się lepiej z właściwym ukryć charakterem.  
Dobra dusza! prostaczek! on musi być szczerym!  
Chcecie — dobrze, nie chcecie, a! to mniejsza o to!  
On ma czem się zasłonić — poczciwą prostotą.  
Znam ja takich hultajów! w każdym z nich się czai  
Więcej pod tą szczerością zdrady i złej chęci,  
Niżli w całej tych głupców unizonych zgrai,  
Co z przesadnym służalstwem u stóp nam się kręci.

*Kent.*

O, ty! który swe jasne przepasałeś skronie  
Łaskawością jak wieńcem z ogniów, w których płonie  
Światłonośnego Feba czoło promieniste!  
Najmiłościwszy panie! zaprawdę, zaiste...

*Ks. Kornwalji.*

Cóż chcesz przez to powiedzieć?

*Kent.*

Wybrnąć z tej manieri,

Którą wasza wysokość gromi tak surowo.  
Ja pochlebiać nie umiem, a kto szczerą mową  
Oszukał ciebie, panie, to był wisus szczerzy,  
Jakim ja zostać nie chcę ni na jedną chwilę,  
Choćbym nawet niełaski twojej ściągnął tyle,  
Iżbyś mię swemi k'temu zachęcał rozkazy.

*Ks. Kornwalji (do Oswalda).*

Jakić człowiek ten doznał od ciebie obrazę?

*Oswald.*

Nigdy, żadnej! Niedawno pan jego, król stary,  
Raczył na mnie swą rękę podnieść, Bóg wie za co;  
Wówczas, chcąc się pochlebić jemu, ten ladaco  
Podbił mię, zwałił, zelżył od czci i od wiary,  
I hardo zadarł głowę, widząc że mu płacą.  
Ża to, że się porywa z językiem i dłońią  
Na tych, co się nie jednym ni drugim nie bronią.  
Owóż więc zachęcony do tak wielkich czynów,  
I tu się rwie zuchwale, chcąc nowych wawrzynów.

*Kent.*

Gdy człek patrzy na podłe te tchórze, hultaje,  
To sam Ajax się przy nich istnym błaznem zdaje!

*Ks. Kornwalji.*

Héj! dyby!.. ty uparty jakiś łotrze siwy,  
Ja cię tutaj nauczę, samochwalco stary!

*Kent.*

Zapóźno mi się uczyć, panie miłościwy!  
Nie dla mnie twoje dyby! Zmień groźne zamiary!  
Jam sługa króla pana, jego list przywożę;  
Za mało byś więc czci mu należnej okazał,  
Za dalekobyś zaszedł w zuchwałej przekorze,  
Jeśli byś jego posła w dyby zabić kazał.

*Ks. Kornwalji.*

Dyby!.. jak mi cześć miła, tak w nich łotra tego  
Potrzymam do południa.

*Regana.*

Do południa? mało!

Aż do nocy, mój panie! a nawet noc całą!

*Kent.*

Panie! gdybym był nawet psem ojca twojego,  
Tak byś mię poniewierał srodze nie powinna!

*Regana.*

Inna rzecz pies poczciwy, podły sługa — inna.

*Ks. Kornwalji.*

Jest to jeden z tej samój zgrai bez pochyby,  
O której siostra pisze... Dalej, łotrze, w dyby!

*Gloster.*

Panie! daj się ubłagać! nie czyni tego panie,  
Srodze winien i pewnie skarconym zostanie  
Od króla pana swego; ona zaś wgardliwa  
Kara, jaką mu grozisz, tylko się używa  
Na ostatnich nędzników, za kradzież lub inne  
Równie podłe natury przewinienia gminne.  
Król może źle to przyjąć, kiedy się przekona,  
Jak cześć jego w osobie posła poniżona,  
Jeśli go spotka tutaj pokuta tak ostra.

*Ks. Kornwalji.*

Sam ja za to odpowiem.

*Regana.*

Gorzój moja siostra

Może przyjąć, gdy do niej dojdzie tam nowina,  
Jaka napaść, zniewaga, jaki tu gwałt srogi  
Pod mojem własnym okiem spotkał dworzanina  
Co przybył z jej zleceniem... Zabijcie mu nogi!

(Kenta zabijają w dyby).

Pójdźmy ztąd. (Regana i ks. Kornwalji wychodzą).

*Gloster.*

Przyjacielu! srodze to mię boli,  
Co tu ciebie spotyka, lecz to rozkaz księcia;  
A on, wszyscy to wiedzą, nigdy nie pozwoli  
Zlekceważyć lub przeprzeć swego przedsięwzięcia.  
Będę błagał go jeszcze....

*Kent.*

Daj mu pokój, bracie!

Zhasałem się w podróży i czuwałem długo,  
Połowę czasu prześpię, a przegwiżdżę drugą...  
Eraszka!... nie raz poczciwiec bywa w tarapacie.  
Do widzenia!

*Gloster.*

Tak, książę za to wart nagany!

Krok ten pewno mu za złe będzie poczytany.

(wychodzi)

*Kent.*

Dobry królu! jak widzę, toś przysłowie gmiune  
Sprawdził na własnej głowie: z deszczu wpadł pod  
rynnę!

Błyśnij, Boże pochodnią, wśród tych ziemskich cieni,  
Abym przy błogim blasku twych złotych promieni  
List ten przebiegł... W niedoli tylko człowiek może  
I ujrzeć i uwielbić wielkie cuda Boże..

To pismo do Kordelji, która, cudem prawie,  
Wiesć powzięła o mojej tajemnej wyprawie  
I pewno znajdzie sposób, z tego topieliska  
Wyrwać tych, którym zguba już zagraża bliska..  
Znużone oczy moje! niech wam sen pomoże  
Nie patrzeć na sromotne me dzisiejsze łożo!  
Dobranoc ci, fortune! obróć swoje koło,  
A uśmiechnij się do mnie raz jeszcze wesoło!

(d. c. n.)

## KILKA SŁÓW O KOBIECIACH

przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

II.

Zadaniem wychowania fizycznego jest: nie zepsucie i rozwinięcie tego co w człowieku z natury już jest dobrem, a poprawienie o ile być może tego co w nim z natury niedołężne i słabe. Osiągnięcie tych dwóch celów, zależy na dobrem i właściwym skierowaniu wszelkich fizycznych żywiołów, które podtrzymują i otaczają egzystencję dziecka; takimi zaś są: pokarm, sen, ruch, temperatura, a także pierwsze wrażenia, jakie od otoczenia swego otrzymują zaledwie rodzące się w dziecięciu władze uczucia jego i myśli.

Jędrzej Śniadecki w książce swój „o fizycznym wychowaniu dzieci“ czas fizycznego hodowania dzieli na trzy epoki: niemowlęstwo do lat dwóch, dzieciństwo do lat siedmiu lub ośmiu, młodzieńczość do pory objawiania się pewnych oznak dojrzałości. Fizyczne hodowanie dziecka w pierwszej epoce, to jest w niemowlęctwie, jeśli nie zupełnie, to głównie ogranicza się na nie zepsuciu tego, co z natury dobrze jest w dziecku ukształtowanym.

W porze tej rozwijanie i kształcenie w bardzo zakreślonych pozostaje granicach.

Ztąd jednak wnosić nie należy, aby zadanie hodujących miało być w tej pierwszej epoce dziecięcego życia małej wagi, albo łatwe i lekceważenia godne. Piszący o tym przedmiocie lekarze i fizjologowie, baczność zwracają w pismach swych uwagę na sposób hodowania niemowląt.

Śniadecki najdłuższy rozdział swego dzieła poświęca tej właśnie epoce. Thierry w wybornej swój książce *Rady dla matek* (Conseils aux mères) obszernie się nią zajmuje w rozdziale *Pierwotny rozwój* (Premier développement). Froebel w swych *Ogrodach* znalazł miejsce dla niemowląt noszonych

dopiero na rękę piastunek; że już pominiemy liczne o tym przedmiocie traktowane dzieła specjalnie-medyczne.

Organizm niedawno narodzonego dziecka jest tak wątki i słaby, iż nie zepsuć go, nie przeszkodzić jego przyrodnym funkcjom i nie nadwzględzić ich w jakikolwiek sposób, jest rzeczą trudniejszą niż się z razu wydawać może.

A ponieważ dla utrzymania jakiegokolwiek organizmu w zdrowiu i całości, i dla uchronienia go od uszkodzeń, potrzebną jest dokładna znajomość, i tego organizmu, i wszelkich żywiołów co otaczając go potężne nań wywierają wpływy, — ponieważ dalej w wieku niemowlęctwa jednemi opiekunkami dziecięcia, oprócz bardzo wyjątkowych wypadków, są matki, wynika ztąd konieczna dla matek potrzeba wyrozumowania i na wiedzy opartej znajomości dziecięcego organizmu, oraz zewnętrznych żywiołów które nań wpływają.

Jakim sposobem matki dojść mogą do tej znajomości organizmu swych dzieci i umiejętności rozpoznawania, co dla nich szkodliwym jest a co zbawiennym? Znajdą się zapewne tacy, którzy odpowiedzą: że wszystkiego tego nauczy je serce. Zapewne; miłość macierzyńska jest potężnym i wzniostłem uczuciem, ale sądzimy że przy dzisiejszym stanie umysłowości ludzkiej, można twierdzić, bez narażenia się na splónięcie w ogniu dla heretyków rozpalonym, iż oprócz wrodzonej im dla dziecka miłości matki w celu zapoznania się z organizmem powierzonym ich opiece i nabycia umiejętności stosowania doń wpływów zewnętrznych, potrzebują pomocy: anatomji, przez którą zapoznają się ze wszystkimi częściami organizmu swego dziecka; fizjologii, która da im widzieć części te w działaniu; higieny, wskazującej prawidła jakie rządzić mają pokarmem, snem, ruchem, temperaturą otaczającą dziecię. Inne tylko fizjologija ciał zdrowych powinna być znajoma matkom, ale i fizjologija patologiczna czyli nauka o działaniu organów będących w stanie uszkodzenia i choroby. A znowu żeby w hodowaniu niemowlęcia zachować trafnie higieniczne warunki, niezbędną jest znajomość głównych przynajmniej praw fizyki i chemji, na których to naukach polega nauka higieny.

Czy podobna, zawoła mnóstwo głosów! anatomja, fizjologja, hygiena, chemia, fizyka a może jeszcze pewne znajomości farmaceutyki na wypadek naglającej choroby dziecka lub nieobecności lekarza. ależ to cały szereg nauk ścisłych, których nabywanie wymaga wiele pracy i zostaje wyłącznym przywilejem mężczyzn.

Możnaż naukowemi faktami, cyframi i znakami obciążać i zaciemniać myśl niewiasty, która winna być tak czysta, jak kropla rosy porannej, tak pokorna jak dziecię, tak napowietrzna jak różana mgła co się pod obłokami unosi! Słuchajcie co mówi wielki Molière.

„Qu'une femme en sait toujours assez.  
Quant la capacité de son esprit se hausse,  
A connaitre un pour point d'avec un haut de chausse“

Wielce dowcipnym zapewne był komedjopisarz francuzki w zdaniach swych o zakresie, w jakim wedle niego zamknąć się powinien umysł kobiecy; smutne wszakże skutki nieumiejętności kobiet dziś już dobrze poznane, nie wspólnego nie mają z komedją, a wesołość jaką w nas wzbudzić może dowcip Moljera, znacznie umiarkowaną być musi widokiem mnóstwa dzieci chorujących i umierających od niewłaściwie udzielanego im pokarmu, kaleczonych i krzywionych przez nieumiejętne spowijanie, wprawianych w chroniczne słabości przez otaczanie je niezdrową temperaturą.

Komuz nie zdarzyło się widzieć najlepsze nawet i najczulsze matki, karmiące swe niemowlęta bez miary i potrzeby, — krzyk ich pochodzący z naturalnej potrzeby dziecka wydawania głosu, lub z niewiadomych im dolegliwości, przypisujących głodowi, a przez to co chwilę i najniepotrzebniej podających im pokarm.

Ta źle zastosowana ilość pokarmu, przyprawia dzieci o chorobę i nieraz o śmierć, a przyczyna złego leży w tem, że matki nie znają trawiących organów swych dzieci, nie widzą w jaki sposób i jakim stopniem działaniem organa te zamieniają żywność na potrzebne dla organizmu soki i błony, nie znają słowem anatomji i fizjologii. — To samo co z ilością dzieje się i z jakością pokarmu.

Śniadecki naucza, że jeśli matka własną piersią nie udziela pokarmu dziecku, w doborze zastępczyni swój w tym obowiązku wielkie powinna zachować ostrożności, że do silniejszego lub węższego organizmu dziecka, winien być zastosowany wiek i cały skład fizyczny mającej je karmić kobiety, że nareszcie do sześciu przynajmniej miesięcy, dziecię nie powinno znać innych jak kobiece mleko pokarmów, a potem ma się do nich przyzwyczajać stopniowo i łagodnie, przez pośrednictwo zwierzęcego mleka, mięs białych i potraw zawierających w sobie jaknajwiększą liczbę białka. Przepisy te są naturalnie wynioskowane z dokładnej znajomości dzieciennego organizmu i procesu jako każdy pokarm odbywać w nim musi. Tymczasem nieumiejętne matki, mimo całej miłości dla dziecka i właśnie nawet przez miłość niekierowaną rozumem i wiedzą, ileż razy rozmijają się z przepisami temi, i jak ilością tak i jakością pokarmu pozbawiają zdrowia lub życia istoty, dla których dobra oddałyby chętnie własne zdrowie i życie.

Zarzuć kto może, iż wiele przecie dzieci wychowuje się zdrowo, chociaż ich matki nie posiadają wyrozumowanej umiejętności fizycznego hodowania. Tak bywa w istocie; ale przypisać to należy szczęśliwemu trafowi, a tam gdzie idzie o zdrowie i życie człowieka, o podstawę dla jego umysłowej i moralnej strony, zdawania się na traf nie zupełnie jest godziwym, w epoce szczególnie, w której wysoko już udoskonalone światło nauki podaje środki rozumnego rządzenia tym trafem. Gdzież zresztą jest pewność, że dziecię zdrowe nawet na pozór, przez błędy jakim uległo pierwotne jego hodowanie, nie utraciło pewnej części siły fizycznej jakaby w przeciwnym razie posiadać mogło? Że w organizmie jego nie powstały zarodki fizycznych cierpień nie widzialne zrazu, ale mające potem objawić się w różnych dolegliwościach i chorobliwych skłonnościach ciała? Nad tą potrzebą rozumowanych umiejętności dla matek, zastanowimy się dłużej w miejscu, gdzie będzie mowa o umysłowym wychowaniu kobiety—tu za kobietom które są już matkami, i zanadto kochają swe dzieci, aby w hodowaniu ich chcieć się zdawać na traf ślepy lub natchnienia serca, które czuje ale nie myśli, radzimy udawać się po zbawienne rady do prac ludzi uczonych i kompetentnych w tym przedmiocie, jak np. Jędrzej Śniadecki, Thierry i inni tego rodzaju pisarze.

W epoce niemowlęctwa, hodujący nie czynią jeszcze znacznej różnicy między dziećmi dwóch płci wady i niedostatki hodowania bywają obu płciom wspólne. A że mamy tu na celu wykazanie torów, jakimi postępuje nie w ogólności wychowanie wszystkich, dzieci ale w szczególności wychowanie kobiet, przestajemy zatem na czynionej uwadze o potrzebie dla matek znajomości nauk, któreby mogły zapoznać je z organizmem fizycznym dziecka i jego potrzebami, i przejdziemy do drugiej epoki zwaną przez Śniadeckiego epoką, dzieciństwa.

Zaledwie dwoje, różnej płci dzieci, opuszcza kolebką i poczyną chwiejne jeszcze stawiać kroki, hodujący mówią do jednego: będziesz mężczyzną! do drugiego: będziesz kobietą!

Będziesz mężczyzną,—a więc ucz się być wytrwałym na chłód i na głód, strzeż się skarg i lez bo one ci nie przystoją, używaj co najwięcej fizycznych ćwiczeń aby jaknajlepiej rozwinąć siłę ciała, bądź poufałym ze zwierzętami i palną bronią, nabieraj słowem conajwięcej hartu i wytrzymałości gdyż cnotą twoją ma być odwaga—ozdobą siła. Będziesz kobietą,—staraj się więc siedzieć najciszej w najcieplejszym kąci, unikaj technienia wiatru lub promienia słońca, trzymaj się prosto, mów cichuteńko, przechadzaj się powoli, spożywaj słodczy, roń lzy przy każdej wydarzonej sposobności, z krzykiem przestradchu uciekaj od zwierząt, mdliej z obawy na widok broni palnej, gdyż cnotą twoją ma być nieśmiałość—ozdobą słabość i lzy.

Natura, powiadają, tworząc kobietę fizycznie słabszą od mężczyzny, przez to samo zdaje się już wskazywać, że wyrabianie w kobiecie siły fizycznej sprzeciwia się jej celom, że siła ta ma pozostać wyłączną własnością mężczyzny, a za to kobieta otrzymuje w dziedzictwie wdzięk, niestety, smutny wdzięk słabości.

Ależ w takim razie, słabość ducha byłaby też nieodstępną właściwością kobiet; bo w zdrowym tylko ciele zdrowo rozwija się dusza, a jakież zdrowie może być trwałem bez należytego rozwoju sił fizycznych? Lecz mądra natura nie mogła tak fatalnego losu

naznaczyć kobiecie. Prawdą jest że kobieta rodzi się już słabszym od mężczyzny udarowana organizmem, ale tembardziej należy dokładać wszelkich usilności, aby nie utraciła by najmniejszej cząstki sił, jakie natura posiadać jej pozwala. W klasach ludzi ubogich, w których potrzebną jest tak kobiecie jak mężka ciężka, fizyczna praca, w których hodujący nie znają wykwinnych pojęć o wdzięku kobiecej słabości, i nie mają czasu na kształcenie sztucznego tego, wdzięku, widzimy kobiety po większej części zdrowe i silne, zahartowane na wszelkie zmiany temperatury i sposobu życia, zaprawione do prac trudnych, cięższych nieraz od zajęć którym się oddają mężczyźni. Kopia one ziemię, żną, noszą ciężary, chodzą boso po śniegu i z odkrytą głową, śród deszczu, rodzą dzieci prawie bez cierpienia, i tak mało rujną się fizycznie funkcjami macierzyństwa, że widywano wieśniaczki na drugi lub trzeci dzień po urodzeniu dziecka, krzątające się około gospodarstwa domowego, a niekiedy nawet i pracujące w polu.

Innażby natura tworzyła kobiety ludowe, a inna te które się rodzą w wyższych sferach społecznych? Nikt zapewne nie przypuszcza tego, a wszyscy wiedzą że siłę fizyczną i hartowne zdrowie swoje, kobiety z ludu zawdzięczają dzieciństwu wystawionemu na wszelkie próby i zmiany powietrza, pełnemu swobody i ruchu.

Wprawdzie pomiędzy dziećmi u ludu, śmiertelność bywa wielką i częstą, pochodzi to przecie wyłącznie z nieumiejętności lub ubóstwa matek, które w pierwszym razie nie umieją, w drugim nie mogą doglądać dzieci, położyć stosowne granice w stykaniu się ich z otaczającymi je żywiołami, przynosić im na koniec lekarski ratunek w chorobach. Ogólnie zaś w wyhodowanych już dziewczuchach, podziwiać przychodzi rozwój i potęgę kształtów, muskularność, siłę i zdrowie tryskające z twarzy i postaci. A nieraz w tym fizycznym rozwoju swoim, kobiety tak dorównują mężczyznom, iż w każdej by najcięższej pracy mogły iść z nimi w zawody — co też i czynią.

W klasach dostatnich i tak zwanych oświeconych, kobiety z każdym zda się pokoleniem bywają słabsze, bardziej podległe chorobom, a dziś smutny ten stan tak stał się powszechnym, że kobieta zdrowa z niezepsutym i nie osłabionym organizmem jest prawdziwą rzadkością. Niekiedy, przy bladych wprawdzie cerze i wiotkiej postaci, zdrowie towarzyszy kobietom w najpierwszej młodości, ale przy pierwszym wstrząśnieniu fizycznym lub moralnym odstępuje ją — kobieta choruje i starzeje się przed czasem, bo na przebycie życia z całym brzemieniem różnych jego dolegliwości, sił jej nie stało. Gdzie zobaczyć dziś można piękne i długie włosy u kobiet, białe i zdrowe zęby, świeżą i czerstwą cerę którą obok zdrowia do późnych lat zachować można? Gdzie ten moralny, piękny spokój w czynnościach i słowach, który utrzymać się zdoła tylko obok nienadwężonego nerwowego systemu i w nieobecności cierpień fizycznych?

Na to powiedzą, niektórzy: kobiety klas dostatnich nie posiadają zapewne zdrowia i sił kobiet ludowych, ale za to są oświeconemi, wiele umieją.

Po zastanowieniu się nad tym argumentem ujrzymy, że właśnie to umysłowe światło udzielane w pewnych klasach kobietom, jest jedną przyczyną więcej do jak najstaranniejszego kształcenia jej strony fizycznej, bo niezawodnym jest iż w dzisiejszym stanie społeczeństw ludzkich, im człowiek więcej wie i rozumuje, tem więcej ma do przeniesienia w życiu moralnych cierpień, smutków i zawodów, którym nie poddała źle ukształcony, nadwężony i osłabiony fizyczny organizm. „Człowiek jest igrzyskiem losu; los ten jest zawsze dziwaczny, a na nieszczęście zawsze potężny. Ten go tylko pokonać może, kto z nim walczyć umie, kto ma tyle mocy ciała i umysłu, iż wszystkie jego pociski wytrzyma, kto ma tyle tęgości iż się nigdy nie ugnie. Ale ta tęgość, ta prawdziwa wielkość jest tem potrzebniejsza, im człowiek wyższe w towarzystwie zajmuje szczeble; bo los tak jest dumny że po wyniosłe tylko i harde zwykł sięgać karki.“ (Jędrzej Śniadecki, O wych. dzieci.) Zresztą tych, którzy fizycznemu zdrowiu kobiet ludowych przeciwstawia oświatę kobiet klas wyższych, możnaby zapytać: jakie zasoby istotnego światła posiadały te ostatnie w zamian zdrowia pierwszych? Nauczyły się one mówić obcemi językami, wylizać na pamięć prawidła katechizmowej moralności, wydobyczyć z fortepjanu „coś naksztalt muzyki.“ Czy z tego skarbcza mądrości, zaczerpną one siłę i umiejętność dla poskromienia swoich buntujących się

nerwów, do spokojnego przeniesienia życia, które cierpieniami różnego rodzaju rozstrajać będzie żywotne nici ich organizmu, jak twarda ręka ostrem dotknięciem rozstraja struny arfy?..

Głównemi żywiołami, od których skierowania lub użycia zależy dobre lub złe, trafne lub błędne hodowanie dziecka w drugiej epoce jego życia, są: pokarm, ruch, temperatura.

Co do pierwszego—jeżeli dla chłopca hodujący uważają za stosowne pokarmy grube i posilne, to dla dziewczynki przeciwnie winny być one w ich mniemaniu delikatne, lekkie, przeważnie słodkie. Paniienka jadać powinna niewiele, nie tyle ile potrzebuje jej organizm, ale ile przystoi.

Od dzieciństwa kształcąc ją na istotę idealną, powiewną, co najmniej delikatną i szczupłą, jadło ukazuje jej jako potrzebę grubej materialnej natury człowieka, konieczną wprawdzie, ale mogącą ulegać znacznym modyfikacjom wedle płci jedzącego. Można widzieć kobiety, przez całe życie nie używające pewnych gatunków mięs, z obawy uszkodzenia swój cerze, i inne które wstydzą się jeść w obec ludzi, mianowicie w obec mężczyzn. A do tych potwornych śmieszności, nie będących bez wpływu na ich zdrowie i siły, zaprawiane były one od dzieciństwa.

Ogólnie uznanem jest prawidłem, że chłopcom hodującym się na mężczyzn, nie należy przyzwyczajać się do lechcących podniebienie i rozstrajających system żołądkowy przysmaków.

Lecz male dziewczynki wzrosną przecie na kobiety. A dla kogóż jeśli nie dla kobiet pracują cukiernicy całego świata?

Fizyologowie i lekarze nie czynią jednak pod tym względem różnicy pomiędzy dwoma płciami, ale—któż zważa na rady tych pedantów? Babki i prababki nasze miały zawsze tradycyjne swoje szafki z przysmakami dla małych dziewczynek, a jednak wyhodowały nas jako tako. Dla czegoż więc starym trybem nie miałybyśmy postępować rutyną prababek?

Ale babki i prababki nasze żyły w czasach, w których organizm człowieka nie był tak dokładnie znany, i szczupły zakres ówczesnej w tej gałęzi wiedzy, zwyczaj zamykał przed umysłem kobiety; rzadziły się więc one popędami czułości nie kierowanymi rozumem i nauką. Dziś posiadamy wiedzę opartą na fizjologii i hygienie, a pouczającą nas, że organizm wzrastającego dziecka potrzebuje nabywania coraz nowych soków, których z tradycyjnych przysmaków zaczerpnąć nie może. Kto zna cokolwiek fizjologię wie dobrze, iż w organizmie dziecka krew z większą szybkością krąży, niż u człowieka który już doszedł pełni wzrostu, że zatem krew ta częściej stykając się z atmosferą, co chwilę traci pewne składowe części swoje i odzyskiwać je musi przez użycie pewnych stosownych ku temu pokarmów; że włókna i błony dziecka tworząc się i wzrastając, potrzebują coraz większych zasobów: białka, tłuszczu, cukru, krochmalu i t. p. materiałów, z których składa się ciało ludzkie, a które zawierają się przeważnie w pokarmach mięsnych i jarzynnych. Kto czytał *Traktat o żywności Moleschotta*, wie, że według różnicy wieku, położenia, zajęć, usposobień umysłu, dla każdego człowieka inne pokarmy są najwłaściwszymi, że coraz innych używać ma rolnik; artysta, uczony starzec, młodzieniec, i dziecię. *Śniadecki* w dziele swem — *O fizycznym wychowaniu dzieci* obszernie naucza, jakie dzieciom udzielać należy pokarmy, lecz o tradycyjnych przysmakach nie ma u niego wzmianki bez różnicy płci.

Kto ma czytać Moleschotta i Śniadeckiego, w celu dowiedzenia się o sposobie najwłaściwszego żywienia dzieci? Naturalnie matki, bo w epoce dzieciństwa jak w poprzedzającym ją niemowlęctwie, oprócz rzadkich wypadków, jedyną opiekunką dziecka jest matka.

Ale tu przedstawia się trudność niezmierna.

Kobiety będące już matkami, nie mają najczęściej dostatecznego o naukach ścisłych pojęcia, nie posiadają umysłowego przyzwyczajenia do skupienia na długo myśli swój około rzeczy ważnej i poważnej, a przeciwnie przyzwyczajają się do łatwego ślizgania się po przedmiotach lekkich i drobnotkowych. Wprawdzie przy dobrej woli, pracy i przy zdolnościach umysłowych wrodzonych naszym kobietom, możnaby wiele przezwyciężyć trudności i nabyć nareszcie wyrozumowanego i na wiedzy opartego poję-

cia o tem co dziecku szkodliwym jest a co pomocnym.

Ależ właśnie aby dojść do tak pożądanego celu, trzeba—pracy a więc czasu—a tu czasu tak mało, taki brak!

Oto na przykład, powiada jedna z matek: nie mam czasu na uczenie się i kształcenie umysłu mego dla korzyści mych dzieci, bo winnam dziś oddać kilka wizyt i być na tańczącym wieczorze. Wszak to są przecie obowiązki towarzyskie! Inna znowu mówi: nie mam czasu na czytanie i naukę, bo czeka mię kilkogodzinne posiedzenie w spiżarni, a następnie długie krzątanie się po domu bez żadnego wyraźnego celu. Można by wprowadzić daleko prędzej załatwić się ze spiżarnią i bez żadnego uszczerbku dla domowego gospodarstwa, bezcelowy spacer po domu całkiem wyrzucić z programu dnia, ale... wszak to obowiązki gospodarskie! Trzecia jeszcze matka odpowiada: nie mam czasu aby gruntownie wniknąć w potrzeby mojego dziecka, bo dziś właśnie czterdziestogodzinne nabożeństwo, jutro spowiedź, po jutrze nieszpory i processje!

Ale... możeby nie było grzechem, mniej cokolwiek modlić się ustami a więcej czynem i myślą podniesioną wysoko a pracowitą? O herezjo! święte są przecie obowiązki religijne!

Więc cóż się stanie z umiejętnym hodowaniem dzieci, jeśli na wyuczenie się go czasu nie staje?

A serce? a tradycja? Jak nas wychodowały nasze matki, tak my nasze córki wychodujemy,—jak one nie umiejąc przeczyły co potrzebnem jest ich dzieciom, i my przeczyujemy! Wprawdzie nie zupełnie jesteśmy zdrowe; mamy słabe nerwy, przedwczesnie utraciliśmy zęby i włosy, każda zmiana powietrza, każde użycie grubszego pokarmu wprawia nas w przeróżne choroby, ale... znać już tak a nieinaczej natura utworzyła kobietę i nie ma widać na to rady!

Matki które w ten sposób zapełniają sobie czas i rozumują, przedstawiają sobą nowy dowód, jak bardzo, jak koniecznie, jak niezmiernie potrzebne jest kobietom szersze, gruntowniejsze umysłowe wykształcenie—któreby im z innej strony ukazało obowiązki towarzyskie, gospodarskie i religijne a powinności i starania macierzyńskie nauczyło opierać na innej nieco podstawie, jak chorobliwa nieraz czułość serca i tradycyjny obyczaj. Wszakże mimo błędów i usterek, system żywienia mniej jeszcze jest rażącym i nie tak ogólnie nagannym i błędnym, jak zastosowanie drugiego żywiołu fizycznego życia do rozwoju dziewczynki: ruchu.

Tu nie trzeba już wzywać świadectwa fizjologii, bo sam zdrowy rozsądek dostatecznie zdaje się wskazywać, że ruch swobodny, ćwiczenia fizyczne, jako to: bieganie, gimnastykowanie się, dźwiganie ciężarów, znakomicie pomagają dziecku do łatwiejszego i potężniejszego rozwoju członków i siły w całym organizmie. Prawidłom to wszakże lubo powszechnie prawie znane, bardzo rzadko zastosowywanem bywa w wychowaniu dzieci płci żeńskiej.

Wszakże chcąc wydać sąd bezstronny w tym już względzie, należy niewinnie część wychowujących osób, i podzielić dzieci i rodziców, popierwsze: na mieszkańców miasta i wsi, powtóre: na mieszkańców miasta bogatych lub dostatnich i takich, którzy nie posiadają dostatecznych majątkowych środków, dla dostarczenia dzieciom swoim w mieszkaniu lub poza nim, przestrzeni potrzebnej dla fizycznych ćwiczeń.

Mieszkańcy wsi bez wyjątku, i mieszkańcy miast posiadający obszerne mieszkania, podwórza i ogrody, jeżeli przykuwają swoje małe córki do miękkich sprzętów, nie pozwalają im używać otwartego powietrza z obawy, aby nie opaliły się latem a w zimie się nie przeziębily, jeżeli nie dają im rąkom innego ćwiczenia jak wyszywanie na kanwie lub niechętnie najczęściej uderzanie w klawisze fortepianu;—tacy rodzice sami winni są temu, jeśli w następstwie córki ich wzrosną z postacią drobną i nie rozwiniętą, z organizmem słabym, nie zdolnym do przeniesienia zmiany temperatury lub losu.

Mnóstwo kobiet dziś dorosłych przypomina sobie pewno owe smutne chwile dzieciństwa swego, w których przykute do stolika rozkazem starszych, nad książką której treść niezrozumiałą jeszcze była dla ich biednej dziecinnej głowy, machinalnie powtarzając prawidła gramatyki francuskiej albo słowa katechizmu „O żalu przyrodzonym lub nadprzyrodzonym“ lub o tem, że „Bóg jest w niebie, na ziemi

i na każdym miejscu“. Za oknem niebo błękitniało pogodą, ptaki świągotały radośnie, słońce z zewnątrz przenikało do pokoju i obfitemi promieniami zalewało stół zarzucony nienawistnymi kajetami i nienawistniejszym jeszcze zaplamionym atramentem. Natenczas wszystkie fizyczne i duchowne władze dziecka rwały się ku temu słońcu, ku tej pogodzie które doń tak wesoło zaglądały przez okno, pragnęły biegania po tej rozkwitłej zieleni murawie, za temi białemi motylami co rojem unosiły się nad uśmiechnionem barwami kwieciami, i biedne dziecię patrząc z pod oka na wszystkie te wzbronione mu rozkosze, czuło zapewne w tedy silny „żal przyrodzony“. I może gdyby mu wolno było swobodnie wybiedz na świat Boży, poigrać z motylami, pocieszyć się kwieciami i słońcem lepiej niż z klasycznej szarooprawnej książki, poczuło i pojęłoby ono obecność Boga w niebie, na ziemi i na każdym miejscu. Ile dziecko tak uwierzone i przykute do książki przemocą, w bardzo niestosownej ku temu porze swego życia, skorzystać może z niedołączonych najczęściej udzielanej mu nauki, wiedzą wszystkie kobiety, które dojrzejąc zaglądały do skarbca zebranych w dzieciństwie wiadomości i pragnąc kształcić swój umysł, zmuszone były rozpoczynać naukę *ab ovo* jak gdyby Chapsal Noël i tutti quanti wcale dla nich dotąd nie istniały. Ale w fizycznej stronie istoty swojej, dotkliwie poczuły one pewno skutki owego sztucznego więzienia stworzonego dla nich w imię nauki źle pojętej i nie w porę udzielanej. „Jak tylko dziecię odwykło od piersi, używa już niektórych zwyczajnych nam pokarmów i chodzić zaczyna, całe wychowanie aż do skończenia 7 roku, albo raczej do stracenia pierwszych zębów i nabycia drugich, powinno być najściślej fizyczne i tylko fizyczne.

Krótko mówiąc pierwszą tę młodość należy całkiem poświęcić wzmocnieniu ciała, a wszystkim przyrodzonym władzom cielesnym pozwolić rozwijać się i bujać w zupełnej wolności.

Na to albowiem w tak ważnem przedsięwzięciu ciągle pamiętać trzeba, że wszystkie czynności odbywają się u nas za pomocą pewnych narzędzi czyli organów, w budowie ich czyli organizacji jest zakład i siedlisko naszych władz i przymiotów. Od zupełnego zaś i dokładnego rozwinięcia się i wydoskonalenia tych władz, zależy cała nasza doskonałość, najistotniej wprawdzie fizyczna ale poczęści i moralna.

*A przeto co tylko tamuje, osłabia, opóźnia lub z przyrodzonego toru sprowadza wzrost i organizację, to wszystko szkodzi nie tylko zdrowiu i władzom fizycznym, ale nawet władzom umysłu i serca* („Jędrzej Sniadecki—O fizycznym wychowaniu dzieci.)

Wszakże jak powiedzieliśmy wyżej, że nie wszyscy rodzice są w możności dostarczenia dzieciom swym dość szerokiej przestrzeni do rozwinięcia całego fizycznego ruchu, jakiego wymaga dzieci tych organizacja. Niebogaci mieszkańcy miast, zmuszeni zamykać się w ciasnych mieszkaniach, posiadających zwykle bardzo szczupłe i nie zbyt czyste podwórka, przy najlepszej nawet woli i zrozumieniu potrzeb dziecka, zmuszeni są więzić je w ciasnych ścianach w których zamyka ich skromność posiadanych zasobów.

Nie małym wprawdzie sposobem ratunku są w takich razach ogrody i place publiczne, wszakże przedstawiają one wiele bardzo ważnych niedogodności. Ażeby dziecię mogło w miejscach tych używać ruchu, musi być przez kogoś doglądane; matka nie zawsze miewa czas na to, piastunka za drogo może kosztuje. Następnie zwyczaj, moda, próżność macierzyńska wprowadziły w zwyczaj staranne i wyszukane dla dzieci ubiory, na które niezamożni rodzice zdobyć się także nie mogą, a bez których rodzicielska, mianowicie macierzyńska próżność, ukazać dzieci nie chce.

Nareszcie są pewne dzielnice miast, tak odległe od miejsc przeznaczonych na przechadzki, że częste tam prowadzenie dzieci staje się dla wielu matek zupełną niemożnością, ze względu na niedostatek czasu albo słabe zdrowie. Smutna to rzecz i przynosząca więcej szkody młodym pokoleniom, niżli na pozór zdawać się może.

(d. c. n.)

## Korespondencja z Lwowa.

Rok bieżący obfituje w anormalne wypadki. Na karb tej anormalności, położyc wypada tegoroczną niestychną przedwczesną zimą. W tym roku natura okazuje dla Lwowa taką samą kapryśną niełaskawość, jak szczęście wojenne dla francuzów w obecnej kampanii. Oblężeni w domach ciągłym błotem, maltretowani ustawicznym deszczem, pozbawieni od sześciu tygodni promieni słonecznych, Lwowianie gotowi są zawrzeć kapitulację z niełaskawą naturą i rzec się wszelkiej pretensji do pięknej zazwyczaj u nas jesieni, pod tym jednakże warunkiem, by w miejsce tyfoidalnej szarugi i kataralnej wilgoci powietrza, spadł jak najprędzej śnieg obfity i zawitały trzaskające mrozy. Kapitulację tej treści podpisałyby z ochotą każdy stały mieszkaniec Lwowa. Wystarczy bowiem kilkogodzinny deszcz, ażeby potworzyły się na ulicach niedostępne kałuże, które zagradzają przystęp do najruchliwszych części miasta i kompletnie przerywają komunikację z sąsiednimi ulicami. Mimo pozornie dobrych trotuarów, mało jest miast tak błotnistych jak Lwów.

Ta przedwczesna zima nie tak bardzo byłaby straszna, gdyby zawitała do nas ze wszystkimi swojemi ujemnymi i dodatnimi stronami. Niestety, obecna pora daje się nam we znaki wszelkimi ujemnymi stronami, a na dodatnie podobno bardzo długo jeszcze czekać wypadnie. Mamy bowiem dnie zimne, mamy zmienną w najwyższym stopniu pogodę, mamy wreszcie bezdenne błoto, a brak nam tych stereotypowych przyjemności sezonu zimowego, jakimi są: koncerty, wykłady publiczne, repertoar zimowy, a wreszcie i karnawał w towarzystwie balów, redut i innych zabaw. To wyjątkowe położenie najwięcej dokuczać musi lwowskiej płci pięknej. Nie tak bardzo cierpi na tem pleć.... brzydka (bądźmy konsekwentni w tej klasyfikacji rodu ludzkiego); która przecież może zabić nudy świeżemi wiadomościami z teatru wojny, rozsypywanemi w nadzwyczajnych dodatkach naszych dzienników. Ach te dodatki! Redakcje chciały zrobić wygodę publiczności temi nadzwyczajnymi dodatkami, które stały się tymczasem nadzwyczajną plagą spokojnych mieszkańców. Roznosiciele tych dodatków z najświeższymi wiadomościami, urządzają formalną oblawę na łatwowierność ciekawych lwowian i okpiwają ich z wyrafinowaną zręcznością. Wyobraźcie sobie ómę lazarionów uwijających się śpiesznie po całym Lwowie, atakujących każdego przechodnia i narzucających mu swój towar, za który dostają dobry rabat.

— Najświeższy dodatek, nadzwyczajny, bardzo nadzwyczajny — woła jeden gamin lwowski, roznoszący dodatki *Gazety Narodowej*— Ważne telegramy, bardzo ważne, Bismarck złapany...

Takimi bajkami oszukują łatwowiernych, którzy kupują świstek i za pieniądze doznają rozczarowania przykrego. Ale niedosć na tem. Roznosiciele dodatków *Gazety Narodowej* i *Dziennika Polskiego* współzawodniczą z sobą, a współzawodnictwo to maltretuje tożsamo publiczność. Zaledwie bowiem zniknie jeden, nawija się drugi, jego współzawodnik z przeciwnego obozu, chwytą się przechodnia jak pijawka i z nieznośną natrętnością krzyczy w niebogłoso:

— Nadzwyczajny dodatek *Dziennika Polskiego*, bardzo ciekawe telegramy. Czterdzieści tysięcy Prusaków padło, ośm dział i dziesięć tysięcy jeńców,—bardzo cie kawy telegram.

Takie wrzaski i sceny powtarzają się na każdej ulicy, niemal na każdym kroku. Jeżeli nastąpi chwila cisza na teatrze wojny, roznosiciele ci niechcą tracić zwykłego odbytu, z podwójną bezczelnością oszukują publiczność swojemi konceptami i zdają się tak natrętnymi, że gorętszy człowiek użyć musi często gęsto tak dobitnego argumentu, jakim jest nieco śmielszy ruch laski...

Chcąc być wiernym sprawozdawcą Lwowa, muszę donieść wam o fakcie, który obok wojny pewną część lwowian w wysokim stopniu zajmuje. Faktem jest... nowa kawiarnia pp. Żmudzińskiego i Kosteckiego, która za kilka miesięcy otwartą zostanie. Zgorszy się tym faktem i całkiem słusznie. We Lwowie niema życia towarzyskiego, błakają się tylko jednostki, dla których najbliższym punktem etycznym są—kawiarnie. A na nieszczęście Lwów miał do niedawna fatalne kawiarnie. Dopiero powyżej wymie-

nieni panowie zaspokoili przed dwoma laty tę potrzebę po części, zakładając z pewnym komfortem ładną, ale małą cukiernię i kawiarnię. W krótkim czasie cukiernia Żmudzińskiego doznała tak życzliwego przyjęcia, że szczerzy jej lokal nie może gości pomieścić w sobie. Osobliwie mężczyźni dusić się muszą w małym zadymionym pokoiku. Ale za to w tej małej przestrzeni koncentruje się cały zasób lwowskich znakomitości. O pewnej godzinie zgromadzają się tu prawie wszyscy dziennikarze, literaci, artyści, niektórzy adwokaci etc. Nie braknie i takich, którzy z prostą ciekawości przysłuchają się pragnącej wesołej i ciekawej pogawędki. Jest w tem nawet pewien interes. Tu można dowiedzieć się od dziennikarzy o wiadomości najświeższe, prędzej niż się takowe w dziennikach pojawiają, tu można przysłuchiwać się bez opłaty ceny prenumeracyjnej różnym dorywczym rozprawom literackim i artystycznym, a obecnie i strategicznym. Kto przyjechał do Lwowa na czas krótki i poznać chciał nasze znakomitości, mógł to uczynić za jednym zachodem przy kawie po południu. Jednym słowem, w pokoiku pana Żmudzińskiego reprezentowane były wszystkie lwowskie redakcje i cały świat literacki. Zdarzało się często, że pisane na prowincje listy lub telegramy do którego z dziennikarzy lub literata, adresowano do cukierni Żmudzińskiego, a redaktor *Szczutka* w ubiegłym roku przez kilka miesięcy w kawiarni tej odbierał za miejscową prenumeratę.

W tym roku wydzierżawił pan Żmudziński kawiarnię teatralną i urządził tam zamysła café restaurant z takim komfortem, o jakim jeszcze we Lwowie nie słyszano. Pan Żmudziński wyjeżdża nawet na kilka tygodni za granicę, umyślnie dla poznania najwspanialszych kawiarni europejskich, których zalety chce połączyć w swym nowym obszernym i pysznym lokalu. I jakżeż nie mają cieszyć się Lwowianie tą wiadomością? Każdego z nich niewysłowioną rozkoszą przejmuje ta sama myśl, że w zabudowaniu teatralnym powstanie tak wspaniała kawiarnia, do której w kilku sekundach dostać się będzie można z przedstawienia teatralnego, albo z reduty! Gotówbym się założyć, że kasa teatralna więcej rozsprzeda biletów, skoro tylko o parę kroków od nich pojawi się ta wspaniała kawiarnia. Smutny to objaw charakterystyczny, ale powód jego, brak towarzyskiego życia, jest niezawodnie tylko chwilowym i z łatwością przy dobrej woli da się usunąć.

Pisząc do was zaraz po wybuchu wojny wspominałem, że pora obecna będzie dla pism lwowskich chwilą przesilenia, z którego podobno nie wszystkie zdrowo i cało wyjdą. Stało się tak istotnie. Podczas wojny wzmogły się znacznie pod materjalnym względem pisma codzienne, polityczne i doprowadziły nakład swój do imponującej wysokości. Ale pisma literackie natomiast ubogie już i przedtem, straciły prawie do reszty materjalną rację bytu. Uwagę wszystkich pochłonięła wojna, nikt nie myślał o sprawach i pismach literackich, które zresztą swą nie bardzo staranną redakcją nie potrafiły przywiązać do siebie czytelników. Wyrazem wymownym tego rozpaczliwego położenia, jest odezwa redakcji *Dziennika literackiego* do czytelników, przyznającej się do zupełnej ruiny. Nawet *Strzecha* o której dotąd jakby o Krezusie dziwiwo opowiadano, nie wyszła dotąd od dłuższego czasu i nie wyjdzie podobno aż po wojnie, I to wydawnictwo zachwiało się także dość widocznie. Kwartalne pismo *Mrówka* związane jedną redakcją i jednym wydawnictwem z *Dziennikiem literackim*, znajduje się oczywiście tożsamo w rozpaczliwym położeniu. Daj Boże, by przesilenie to skończyło się powrotem do zdrowia, ale rezultat każdego przesilenia jest zawsze bardzo wątpliwy.

Bardzo czynni są w tej chwili wydawcy kalendarzów, dla których pośpiech jest pewną rękojmią powodzenia. Chociaż więc daleko jeszcze do nowego roku, mamy już kilka lwowskich kalendarzy w handlu księgarskim, a liczba ta niezadługo wzrośnie znacznie. Zaden jednakże z lwowskich kalendarzy nie może współzawodniczyć z którymkolwiek z Warszawskich, ani pod względem formy ani co do treści. Każdy lwowski kalendarz jest tylko zeszytem bibuły, z drukowanymi stereotypowymi rubrykami. Na lekturę nie zwracają lwowscy wydawcy kalendarzy żadnej uwagi. Część tak zwana literacka zawiera kilka często bardzo niefortunnych przedruków, i na tem kończy się ta rubryka. Z lwowskich kalendarzy chlubnie odznaczy się w tym roku humorystyczny kalendarz *Chochlika* (p. Włodzimierza Zagórskiego). Kalendarz ten wyjdzie za kilka dni dopiero, ale lwow-

skie pisma podały już z niego kilka wyjątków, świadczących bardzo chlubnie i o tym nowym utworze znakomego humorysty.

Ubolewać należy, że zaden z energiczniejszych wydawców lwowskich, nie pokusi się o podniesienie tak niskiego stan naszej kalendarzowej literatury, która dla Galicji mogłaby stać się bardzo pożyteczną. Ludzi cierpiących na wstręt do czytania i kupowania książek, posiada Galicja ogromną liczbę. Kalendarze dobre i starannie zredagowane, mogłyby bardzo korzystnie wpływać na usunięcie tej słabości. Kalendarze bowiem kupują wszyscy; to też najłatwiej można w nich jakąś zabawną i pożyteczną lekturą, przynęcać powoli do czytania i ludzi najobojetniejszych dla literatury.

Dawno nie pisałem wam o teatrze, a jako sumienny sprawodawca powinienem teatrowi poświęcić spory ustęp w każdym liście. Niestety teatr nasz znajduje się w tak wyjątkowym położeniu, że korespondent wasz pod tym względem do żadnej nie poczuwa się winy. Niepodobna bowiem maltretować łaskawych czytelników sprawozdaniami z różnych starych fars, które skończywszy swą karierę we wszystkich teatrach, blakają się w końcu po deskach sceny lwowskiej. Przedstawienie sztuki znakomitej a w dodatku i nowej jest fenomenem, na który we Lwowie czeka się zazwyczaj bardzo a bardzo długo. Niedołężna gospodarka obecnej dyrekcji, sprowadziła scenę lwowską do takiego upadku, że dając prawdziwe sprawozdanie o jej stanie, naraziłby się można na zarzut niechęci lub tendencyjnej złośliwości, zwłaszcza w Warszawie, gdzie teatr stanął na tak wysokim stopniu estetycznego rozwoju. Wspomnieć jednakże muszę, że w listopadzie wyjeżdża do was na stały pobyt, gwiazda sceny lwowskiej panna Romana Popiel. Stratę tę uczuje publiczność lwowska, ale nie dyrekcja sceny naszej, która nigdy jeszcze nie umiała ocenić talentu i starała się formalnie pozbyć takich artystów i artystek, jak pp. Rapacki i Nowakowski, p. Nowakowska i p. Modrzejewska. Pan Rapacki np. na scenie lwowskiej uważany był przez dyrekcję za artystę najmniejszego. Dyrekcja dawała mu tylko role krótkie i podrzędne. Sapienti sat!...

B. Ł.

NATALJA BORYSÓWNA

**DOŁGORUKOWA.**

POWIEŚĆ

P. Furmanna.

(Dalszy ciąg.)

CERKIEW.

Na drugi dzień Dołgorukowie włożyli najlepsze ubranie i oczekiwali przyścia Topornikowa, aby udać się do cerkwi. Rozlegał się pierwszy przeciągły dźwięk dzwonu, i odgłos jego rozszedł się po całym miasteczku. Nie długo nadszedł kapitan z komendą, a nie pozwalając sobie żadnych żartów, poprowadził zestanych, którzy dziś pierwszy raz ujrzeli go przyzwicie ubranym.

Wiadomość, że nowo przybyli znamienici więźniowie będą przytomni na nabożeństwie, szybko rozeszła się po mieście, i doszła nawet do najuboższych chat, — dla tego też, cała droga od więzienia do kościoła, była zajęta przez ciekawych. Przeszedłszy parę krótkich i wąskich uliczek, zasianych domeczkami, oddzieleni jeden od drugiego dość znaczną przestrzenią, Dołgorukowie, zupełnie niespodzianie znaleźli się o kilka kroków przed cerkwią, ładnie zbudowaną i dość obszerną.

— Jakże cerkiew? zapytał kapitan kniazia Alekszego półgłosem.

— Prześliczna — nawet nie tylko w Berezowie. — Jak wejdziemy do środka, to pokaże wam nagrobek bogobojnego założyciela. Istotnie założyciela, gdyż on sam pracował razem z robotnikami. Przy nim spoczywa w spokoju jego córka. Ona to miała anielską duszę. Wieczny im odpoczynek! dodał kapitan ze wzruszeniem, którego trudno było spodziewać się po jego szorstkim charakterze. Gdy tak mówił kapitan, kniaz Aleksy powolnie wznosił głowę, twarz jego zbladła, oczy nieruchomie patrzyły na mówiącego.

— A... kto... kto jest... ów bogobojny założyciel? zapytał drżącym głosem.

— Ty go znałeś chyba, on był z waszych; oto w dzień Matki Boskiej, będzie właśnie rok temu, jak pocziwy umarł. Został rażony apopleksją, a nikt nie umiał upuścić krwi; gdzież to tutaj!

— Ale któż to... kto?

— Mienszykow Aleksander Danilicz.

— Mienszykow! z jękiem powtórzył kniaz i zakrył twarz rękami. Zadrzał całym ciałem, nogi zgięły się w kolanach i byłby padł na miejsce, gdyby nie pomoc synów.

— Co mu się zrobiło? zapytał kapitan nie domyślając się wcale, że kniazia tak uderzyło tylko co wymówione nazwisko.

Do półkowego oficera, w ciszy Sybiru nie dochodziły wiadomości o dworskich intrygach. Prawda, że czasem przejeżdżający handlarze, rozpowiadali wieści o wypadkach w Europie, ale przejezdne wiadomości były tak bezładne i tak fałszywie przedstawiały istotę rzeczy, iż niepodobna było dać im wiary. Zresztą Topornikow nie czuł potrzeby wiedzieć co się dzieje za Tobolskiem i Berezowem. Tu skoncentrowało się całe jego życie, cała jego działalność, w surowym spełnieniu włożonych nań obowiązków, w których znajdował wystarczające zajęcia dla swego nie zbyt bystrego rozumu. Gdy weszli do przedsiionka, kniaz Aleksy odzyskał przytomność i zatrzymał się mówiąc do żony i dzieci:

— Idźcie, ja i tu pomodlę się.

— Ojcie, jeśli Ci nie dobrze, lepiej powróć do domu.

— Nie... nie... ja chcę... powiaienem się modlić.

— To wejdz.

— Nie... nie śmiem wejść do tego kościoła, wyszeptał kniaz, odwracając oczy od otwartych drzwi cerkwi.

Uproszono kapitana aby pozwolił kniazowi Aleksemu Grygorewiczowi zostać w przedsiionku. Ten przystał na to, zostawił jednak żołnierza.

Wówczas stary kniaz padł na kolana i długo długo się modlił. Czyż to nie on użył wszelkich starań, aby oddaleniem Mienszykowa w tę pustynię, uwolnić się od najpotężniejszego przeciwnika? Zgniół on Mienszykowa, lecz czyż dla pożytku ojczyzny? Nie, lecz dla tego, żeby podług gorzkiego przykładu, iść tą samą drogą do nabycia niezliczonych bogactw i tych wysokich zaszczytów, o których nie powinien ani marzyć na jakimkolwiek znajdował — by się stanowisku... I kniazowi Dołgorukowi tak samo zamieszkało się w głowie, jak i kniazowi Mienszykow, i jakby przykuty do gorzkich śladów swego przeciwnika, kniaz Aleksy tym samym torem dojechał aż do Berezowa. Czyż mógł przypuścić kniaz Dołgorukow, że nie dalej jak za trzy lata, zaledwie trzy lata, sam będzie w tym Berezowie, gdzie wygnany jego intrygiem i waleczny kniaz Mienszykow, sługa i przyjaciel Piotra Wielkiego, umarł jak prawdziwy chrześcijanin. Ponure myśli gromadziły się w umyśle kniazia i głęboko wdychając, powtarzał półgłosem słowa duchownego dolatujące jego uszu.

Okolo przedsiionka stała gromada ludzi, z boleścią patrzących na grzesznika, uważającego się niegodnym wejścia do kościoła świętego. Nabożeństwo ciągnęło się dość długo. Jakby wypłakawszy całą swoją duszę, Aleksy Grygorewicz wpadł w zupełne odrgwienie i zapomnienie; ciągle kłęcząc, z głową opuszczoną na piersi, zęgnął się i składał pokłony szepejąc półgłosem modlitwę.

Nabożeństwo skończyło się. Ludzie zaczęli wychodzić, kniaz jednak ciągle pozostawał w jednym stanie. Nakoniec, gdy tłum rozszedł się w różne strony, do przedsiionku wszedł duchowny, człowiek młody jeszcze lecz z smutnym, prawie cierpiącym wyrazem twarzy. Nie na rozkaz władzy wyższej, lecz na własne usilne prośby, został przeznaczony do Berezowa. Ciężko, nieprzyjemnie było ojcu Joankinowi wśród wrzawy światowej; dusza jego pragnęła innych wyższych rozkoszy, duchowna jego działalność potrzebowała obfitego pokarmu.

Nie tam, gdzie ludzie śmieli się szczerze czy nie szczerze, nie tam było miejsce dla młodego duchownego, lecz tam gdzie panowało cierpienie, nieszczęście, boleść, gdzie rozlegał się jęk rozpaczny, tam ojciec Joankin ożywał się świętością swego obowiązku i niósł pociechę słowem i czynem.

Podszedł on do starego kniazia, i cichym, tklwym

serdecznym głosem wymówił kilka słów uspokajających, a w końcu dodał:

— Pójdźcie już, chce obiadować z wami i z waszą rodziną.

W więzieniu, wszyscy Dołgorukowie zebrali się w mieszkaniu kniazia Aleksego. Obiad trwał dość długo. Ojciec Joankin mówił porywająco. Słowa jego płynęły prosto z duszy, przepelnionej głębokim chrześcijańskim przekonaniem. Szcupła twarz młodego duchownego rozjaśniła się, czyżby zwykłe wyrażające cięhy smutek, błysnęły nadziejskim ogniem, a na ustach okazał się dziwny uśmiech. Zamilkł, posiedziawszy milcząco chwilę, wstał pobłogosławił wszystkich i oddalił się.

Dołgorukowie ożywili się, słowa duchownego natchnęły ich mocą, cierpliwością i poddaniem się losowi.

#### DZIECI. — ZNOWU TOPORNIKÓW.

Nowe życie Dołgorukich było tak jednostajnym, jeden dzień tak podobny do drugiego, że uważam za zbyt nudzić czytelniczki szczegółowym opisem.

Natalja Borysówna po dawnemu zajęła się swoim małym gospodarstwem i przybrała przeznaczony im spichlerz, o ile tylko pozwalały jej szczupłe środki. Zresztą materialne potrzeby wygnańców były wkrótce usunięte; podług nowego rozporządzenia, pozwolono im pisywać do rodziny lecz na jakich warunkach! W nich powiedziano:

Listy do rodziny i od rodziny przychodzące, oddawać tylko te, w których będzie pisane o przesyłkach zapasów i innych gospodarskich potrzebach. Dla tego tak od nich odchodzące jak i od nich przysyłane listy, naprzód powinien czytać będący przy nich oficer, i zapisywać sobie: kiedy, dokąd lub z kąd i o czym pisano, i zdać im wiadomość.

Pomimo iż w tych listach nie można było napisać ani jednego serdecznego słowa, ani dowiedzieć się o zdrowiu krewnych, ani podać o sobie wiadomości, jednakże były one wielką pociechą. Rzadko przychodziły, lecz za to dzień ich odbioru był dla Dołgorukich dniem szczęśliwym, uroczystym. Ojciec Joankin często przechodził obiadować z nieszczęśliwą rodziną i za każdym razem poddanie się wyrokowi opatrności wznosiło się w nieszczęśliwych.

Jeszcze kilka ciosów uderzyło w wygnańców. Stara księżna, Prakseda Jerzówna, urodzona księżna Chyłkowa, umarła. Przecierpiane nieszczęścia, daleka podróż, zmiany losu, zupełnie odebrały jej zdrowie. Popłakali nad mogiłą dobrą, łagodną matki, a jednocześnie zazdrościli jej. Dla niej skończyły się ziemskie cierpienia i Bóg powołał do siebie męczennicę, poddającą się Jego świętej woli, bez skargi, z chrześcijańską pokorą.

Ubiegło tak cztery lata jednostajnego życia i nowy grób znowu się roztworzył dla przyjęcia nowej ofiary. W roku 1734 umarł kniaz Aleksy Grygorewicz. Cztery lata wygnania i więzienia zmasowały dawne postępy kniazia. Razem z małżonkami leżały ich wnuczka, dzieci Jana Aleksiejewicza, zmarłe w latach dziecińczych.

Przechodził rok za rokiem. Ani o krewnych, ani o niczem co się działo z drugiej strony Uralu, nie było żadnych wiadomości. Treść listów była zawsze jednaka: wylczenie posyłanych rzeczy i pieniędzy. Więcej ani słowa.

Tak ubiegło dziewięć lat; przyszła wreszcie ciemna i słotna noc jesienna. Wiatr szumił koło więzienia, grube krople deszczu uderzały o okienice spichlerza. Natalja Borysówna nie spała. Niepokonana obawa, jakiej dawnie doświadczała, uciskała jej serce, febryczne dreszcze nie dawały jej spokoju. Zrywała się za najłżejszym szmerem i oglądała ze strachem. Jedna lampka, nie jasno paląca się przed obrazami świętych, oświecała biedną siedzibę.

Jan Aleksiejewicz spał, ale sen jego był niespokojny.

Natalja chodziła po izdebce, z takim zafrasowanym i niepewnym wzrokiem, jakby jej czegoś brakowało, jakby czegoś szukała. Nagle przytłumiony i suchy kaszel dziecka przejął ją dreszczem. Wspomniała o dzieciach które już utraciła, i serce jej jeszcze bardziej się ścisnęło. Czyż tenże los czeka dziecinę, której dopiero rok minął?

Ostrożnie\* i zatrzymując oddech zbliżała się do maleńkiego Dymitra. Zakaszłał biedaczek jeszcze kil-

ka razy, potem rozplakał się i wyciągnął chudziutkie rączki ku matce. Ucałowała go tklawie i uspokoiła temi czarodziejskimi słowami, tajemnica których wiadoma tylko kochającym matkom, a przykrywszy ciepło dziecinę, nie odeszła dopóki nie usnął: długo nie spuszczała z niego oczu. Dymitr był dzieciną słabą; blada, ściągła twarzyczka, drobniutkie członki nie przepowiadały nic silnego. Lecz macierzyńskie serce zawiera w sobie niewyczerpane skarby miłości i poświęcenia. Czem więcej dziecko wymaga starania i troskliwości, tem więcej matka przywiązuje się do niego, tem więcej się poświęca.

Gdy Dymitr zasnął spokojnie, matka zwróciła się w drugą stronę. Tam spał silnym snem, zdrowy, dziewięcioletni chłopczyk; to był starszy syn, Michał. Uśmiech pełen miłości, rozjaśnił oblicze matki. Michał był zupełnie do ojca podobny; schyliła się i uścisnęła go.

Na dworze ciągle szalał wicher i deszcz ciągle uderzał po okiennicach. Jan cicho jęknął. Księżna szybko przybiegła ku niemu i ujęła za rękę.

— Puśćcie!... puśćcie!... zawołał stłumionym głosem, nie przebudzając się.

Natalja Borysówna chciała go rozbudzić, ale nagle usłyszała jakiś szmer na dworze. To przeraziło ją, tem więcej, że podczas dziewięciu lat, nikt, prócz straży, nie przerywał ciszy nocy.

Kniaz nie przestał ciskać się na łóżku, a księżna pobiegła do okna. Nic nie było widać a szmer coraz się wzmacniał. Młoda kobieta nie wytrzymała dłużej, cicho uchyliła drzwi obite wojłokiem, i jakkolwiek lekko ubrana, wybiegła jednak na deszcz zimny i przenikający.

Wzrok jej pomiwołnie zatrzymał się na furcie w ogrodzeniu. Furka była zamknięta, lecz za nią słychać było głosy, a nad ogrodzeniem widać było lekkie światło, zapewne od latarni.

Kilka chwil stała Natalja Borysówna. Drżała jak w febrze i musiała oprzeć się o ścianę, dla utrzymania na nogach. Lecz wkrótce szmer ustał, a rozległ się jeden tylko silny głos, który zdawał się być znany młodej księżnie. Zaskrzyphiały żelazne rygle i ciężka furka, smutno skrzypiąc na zardzewiałych zawiasach, otworzyła się. Blask latarni z początku oślepił Natalję, potem spostrzegła całą komendę uzbrojonych żołnierzy. Przytłumiwszy okrzyk przestrachu, wbiegła do siebie. Tam była cisza; mąż i dzieci spały. Z osłabienia upadła na kolana przed obrazami świętych i zaledwie mogła wyszeptać: — Matko! Najświętsza Boża Rodzicielko! Wybawienie to, czy zupełna ztrata.

Przez ten czas kroki zbliżyły się, a w oknie zaczęło błyskać światło latarni.

Młoda księżna snuła tysiące najsprzeczniejszych domysłów. Rozsądek mówił jej, że wypili do dna czare goryczy, że podczas dziewięcioletniego więzienia wiodli życie ciche, proste, spokojne. Jakież nowe groziło im nieszczęście? Lecz serce straciło siły, promyczek nadziei zagasnął w niem pod uciskiem długich, męczeńskich cierpień! Komenda zatrzymała się u drzwi spichlerza. Ktoś zaszukał.

— Boże! niech się dzieje Twoja wola! wyszeptała Natalja Borysówna i poszła otworzyć drzwi.

Wszedł półkowy kapitan Topornikow, a za nim dwaj żołnierze, którzy natychmiast stanęli przy drzwiach. Jakkolwiek kapitan postarzał się i zgarbił, jednakże Natalja poznała go natychmiast.

— Otóż, ja znowu u was? Cóż nie poznajecie mnie trzpiotko? zawołał Topornikow silnym głosem.

— Na miłość Boską, nie budźcie dzieci! prosiła matka błagalnie.

— Dobrze, dobrze! I kapitan zniżył głos. Ojciec i matka wam umarli, slyszalem. Wieczny im odpoczynek! A gdzie twój mąż?

— Spi.

— Trzeba go obudzić.

— Po co? zapytała przywiązana i wierna żona, drżącym głosem.

— Tak rozkazano. Odwieziemy go do Tobolska i tam oddamy komu należy.

— Lecz... ale... weźmiecie... i mnie... i dzieci? Kapitan przecząco potrząsał głową.

— Nie! mówicie! krzyknęła Natalja. Nie!... O! to niepodobieństwo! Zartujecie, kapitanie! Nikt nie ma prawa wydzierać męża żonie i ojca dzieciom... Dziewięć lat dzieliłam z nim niedolę i wszelkie możliwe nieszczęścia; dobrowolnie poszłam z nim na wygnanie, a wy chcecie nas rozłączyć? Nigdy! nigdy!

Czy siła oderwiecie mnie od niego? Jam słaba kobieta, ale duch mój silny! Zabiorę dzieci i pieszo pójdę za wami. Będę cierpieć głód, zimno, będę zebrać litości, lecz męża nie odstąpię.....

— Ale ciebie nie wypuszczą ztąd! odrzekł kapitan. Młoda kobieta załamała ręce:

— Tak nie puszcza... oni silniejsi odemnie!... O! to piekło!

— No, potrzeba to marudzić? Obudź męża, a nie, to ja go poruszę!

Jak lwica rzuciła się młoda kobieta ku łóżkowi i zasłoniła sobą męża jakby gotując się do stawienia oporu. Nagły jej ruch, rozbudził kniazia Jana; szybko zerwał się i nie mogąc przyjść do siebie obejrzał się z podziwieniem.

— Aresztancie, Janie Aleksiejewicz! wstawaj i ubieraj się, lecz ciepło bo niedługo nastaną mrozy; zabierz co najpotrzebniejsze w drogę. Tylko przedź, skoro świt odjedziemy.

— Odjedziemy?... powtórzył kniaz Jan, teraz dopiero poznając Topornikowa. Gdzie?...

— Gdzie? prosto do Tobolska.

— A następnie?

— Tego i ja nie wiem, tylko wolno mniemać że ciebie zawiozą za Ural do Moskwy lub Petersburga.

Kniaz załamała ręce. Lecz promień nadziei zabłysł w jego oczach.

— Boże sprawiedliwy! Czy to czasem nie oswo-bodzenie!

Kapitan nie odpowiedział, ale z jego twarzy można było wyczytać iż wie więcej nad to, co mówił.

— Nie, Janie! nie swoboda a Bóg wie co! rzekła Natalja; oni nas chcą rozłączyć!...

I młoda księżna, z konwulsyjnym łkaniem rzuciła się na szyję męża. Topornikow odwrócił się i zamruczał przez zęby.

— Widać starość mnie osłabiła. Otóż nie mogę patrzeć jak baba płacze! aż się serce ścisnę!

Potem zwracając się szybko do małżonków, zawołał zwykłym swoim grubym głosem: Po co się tu czuliście? Już mówiłem, że czas drogi. Szykujcie się przedź, ja mam jeszcze zajęcia.

Kapitan wyszedł zostawiając żołnierzy za drzwiami. Zajęcie o którym mówił Topornikow było zupełnie podobne z dopiero co spełnionem. Kniazowie Mikołaj i Aleksy Aleksiejewicze także byli więźni. Pozostawiono tylko Aleksandra dwunastoletniego chłopca.

W spichlerzu tymczasem, odbywała się jedna z tych scen, do opisanie której trudno znaleźć wyrazów. Natalja Borysówna zbudziła dzieci i przywiodła ich do ojca po błogosławieństwo, potem rzuciła się w objęcia małżonka. Napróżno prosił ją aby nie rozpacziała, napróżno zapewniał że wszystko się poprawi; ona nie mogła przytłumić tajemnego głosu mówiącego jej zupełnie przeciwnie.

— Jeżeli zgrzeszyłem w młodości Bogu i ludziom, to dziewięcioletniem, ciężkim więzieniem, okupiłem choć część moich grzechów. Od dnia naszego wygnania nie zawiniłem — jam czysty przed Bogiem i ludźmi! Osądźże sama, dla czego mam się obawiać? mówił kniaz. Rzeczy były zapakowane, kniaz Jan Aleksiejewicz ubrał się; wówczas Natalja Borysówna wzięła Michasia na ręce i wszyscy usiedli, nawet służba pakująca rzeczy. Kilka chwil trwało ogólnie milczenie, przerywane tylko łkaniem. Wszyscy wstali i pomodlili się. Jan Aleksiejewicz ścisnął tklawie ukochaną żonę. Kapitan skończywszy swoje zajęcia, powrócił.

— No! zawołał, tam było łatwiej, a tu zawsze ta sama piosenka! Czy gotowi? zapytał krótko.

Dźwięki tego głosu przejęły dreszczem małżonków. Ojciec raz jeszcze pobłogosławił i uściskał dzieci. Zebrawszy całą moc ducha, odpowiedział pewnym głosem:

— Ja gotów, kapitanie.

Gdy kładł futro, Natalja Borysówna z konwulsyjnym pośpiechem otuliła dzieci i włożyła na głowę ciepłą chustkę chcąc odprowadzić męża. Dziecina zawinięta w płaszczyc przycisnęła swoją bladą twarzyczką do piersi trzymającej go na ręku służącej, a starszy bystro i śmiało patrzył w oczy Topornikowi.

— To twoje dzieci? zapytał ten ostatni kniazia. Jan Aleksiejewicz milcząco potwierdził głową.

— Oto dzielny młodzieniec! Jak się nazywasz?

— Kniaz Michał Iwanowicz Dołgorukow! śmiało odpowiedział chłopczyk.

— Otóż... i ja gotowa! powiedziała księżna kładąc szubę.

— A ty, moja matko, gdzie się wybierasz?

— Przeprowadzić męża, ledwie mogła wymówić młoda kobieta, tak silnie drżała.

— Dość tego! Nierozumna! rzekł kapitan dobrodusnie.

Długie odprowadzania, zbyteczne ły! Gdzie się tobie prowadzić z dziećmi w nocną porę, na błoto, w deszcz?...

— Czyż odmówicie mi i tej ostatniej pociechy? z boleścią zapytała Natalja.

— Jakaż tu pociecha? Tylko się rozdrażnisz. Pozostań lepiej w domu, chatka twoja ogrzana, dzieci przy tobie. Wyplacz się naprzód dostatecznie, kiedy już taki wasz babski obyczaj, potem pomódl się do Boga i idź spać. Te, moja matko, pociecha najlepsza w każdej niedoli. Bóg z tobą!

Stanowczy ton kapitana upewnił młodą kobietę, iż jeżeli nie będzie posłuszną dobrowolnie, to użyją siły. Kilka chwil trwało jeszcze bolesne pożegnanie.

— Do widzenia!... rzekł nakoniec książ Jan, wyrwawszy się z objęć żony i spieszenie wyszedł.

— Tak, Janie, do widzenia... tam!.. krzyknęła Natalja proroczym głosem, ukazując na niebo.

Z piersi jej wydarł się jeszcze jeden przeraźliwy krzyk i padła na ziemię bez zmysłów.

— Tfu! mruczał do siebie Toporników, wychodząc za drzwi i spluwając: to taki naród, te baby, że trudno z nimi poradzić.

Wolałbym pójść sam jeden przeciw dziesięciu turkom i jeszcze pięciu szwedom, niż patrzeć na babskie ły i słyszeć babskie jęki!... Oj! mnie samemu ścisnęło się serce, doprawdy chce się zapłakać. Co to znowu będziesz wyprawiać? Karność kapitanie! Ot, co jest!...

Nie zważając na wszystko co już wycierpieli Dołgorukowie, zawiść Birona nie nasyciła się ich poniżeniem.

Książ Aleksy Aleksiejewicz w Tobolsku rozstał się z braćmi. Był wysłany jako majtek na Kamczatkę. Książ Mikołaj Aleksiejewicz był pozbawiony części języka przez wyrwanie go kleszczami. Książ Jan Aleksiejewicz i dwóch jego braci byli zawieszani do Nowogrodu, gdzie, prawie bez żadnego sądu, ulegli karze śmierci.

Nie będę opisywać wam szczegółów kary; ten obraz byłby zanadto przestraszający, dodam tylko, że książ znosił niewypowiedziane męczarnie z moją i pokojem. Ostatnie jego słowa były:

— Dziękuję Ci, Boże, że nauczyłeś mnie cierpieć i przebaczać.

Tak zakończył życie trzydziestoletni męczennik..... Nie uszło dwóch lat a Biron był wygnany do miasta Pielyma w gubernji Tobolskiej.

(d. n.)

### Stowarzyszenie w Cesarstwie.

Jednym z najdzielniejszych środków do podniesienia dobrobytu w każdym państwie, są stowarzyszenia, które prace jednostek w danym kierunku zbierając w jedną masę, nadają im siłę wiecznie działającą, niepożyta, a nawet ciągle wzmagającą się. Nadto naród przywyceuszając do czynności, do energii, do krzątania się około własnych spraw żywota, wydobywają go z małoletności, często z ogólną szkodą rozmyślnie podtrzymywanej.

Rolnictwo to matka żywiciela całej ludzkości, szczególniej pod tym względem domaga się działalności, i tylko tam kwitnie i pomyślnie się rozwija, gdzie nie szczędzą mu ani starania ani opieki. Tygodnik bałtycki wychodzący w Dorpacie, donosi o pomyślnym rozwoju zawiązanego tam przed półtorarokiem Towarzystwa rolniczego włościańskiego. Jest to, powiada ten dziennik, początek tego rodzaju instytucji, których zakładaniu zapewne władza przeskody stawiać nie będzie, jeżeli na potwierdzonej dla

tamtego Towarzystwa ustawie poprzestaną. Dozwala ona bez wyjątku rolnikom i miłośnikom rolnictwa należeć do Towarzystwa, i można wróżyć, że stanowić będzie epokę dla rolnictwa w tutejszych prowincjach, i przyniesie te same błogie skutki, jakie podobne stowarzyszenia tak gęste już w Niemczech dla Niemiec przyniosły.

W Moskwie zawiązało się stowarzyszenie piekarskie pod firmą: chleb-sól. Jest to zwykłe stowarzyszenie akcyjne, z kapitałem 250, 000 rubli wynoszącym, nie żądające ani osobnych przywilejów, ani pomocy od miasta, i tylko pragnące o własnych siłach wystąpić do współzawodnictwa z miejscowymi piekarzami na równych prawach im posługującym. Podobne stowarzyszenie bardzo przydałoby się Warszawie, w której bochenek chleba dobrze wypieczonego, jest prawdziwym białym krukiem rzadko spotykanym.

Słowiańskie towarzystwo dobroczynności w Moskwie, zamierzyło urządzić w Petersburgu Cyrylo-Methoduszowy księgozbiór, który składać się będzie, z całkowitego zbioru wszystkich ile możliwości dzieł pisanych we wszystkich słowiańskich językach i naryczkach, i z kompletnego zbioru wszystkich pism periodycznych słowiańskich tak z lat dawnych jak ostatnich. Nadto należeć do niego będą ruskie dzieła, monografie, broszury, roczniki, i czasopisma poświęcone Słowiańszczyźnie, rozprawy i pisma periodyczne dotyczące się badań krajów i ludów Słowiańskich, oraz kwestji wschodniej. Oprócz tego zbierane będą wszelkie rękopisma i notaty prac nie wydanych w języku słowiańskim, teksta pieśni ludowych, zbiory map ziem słowiańskich, rysunki, plany, opisy, wszelkie portrety i wyobrażenia ważniejszych osobistości pochodzenia słowiańskiego.

W Kijowie podjęto projekt utworzenia towarzystwa ubezpieczeń pracy, na zasadach ogólnych tego rodzaju towarzystw, któreby niosło pomoc członkom swym niemogącym pracować.

Wreszcie Gołos donosi, że pomiędzy różnymi stowarzyszeniami zakładającymi się obecnie w Petersburgu urządzi się nowe towarzystwo kassy pomocniczej kucharów. Na pierwszym posiedzeniu zebrało się przeszło dwieście osób, na którym złożono do tysiąca rubli srebrem. Cel główny towarzystwa: dawanie zapomóg w razie choroby, ponoszenie wydatków na pogrzeby i utrzymanie wdów.

**Włościanin Polski, czyli gospodarstwo wiejskie, dla użytku mniejszych gospodarstw i szkół rolniczych.** Dzieło to napisane przez *Zygmunta Gawareckiego*, a wydane nakładem Redakcji *Gazety Rolniczej*, jest do nabycia w Redakcji po cenie rsr. 1 za egzemplarz. Uznane przed kilku laty przez Władzę wychowania publicznego za przewodnik dla niższych szkół rolniczych w kraju, ułożone sposobem katechizmowym na pytania i odpowiedzi, obejmuje całkowity zakres gospodarstwa, o roli, siewie, łąkach i pastwiskach; ogólne wiadomości z hodowli koni, bydła owiec, trzody chlewniej, kóz, krulików, drobiu, pszczół, ryb i jedwabników; wreszcie ogrodnictwo, leśnictwo i domowe kobiece gospodarstwo. Wykład jasny i przystępny czyni je szczególniej użytecznym dla mniej wykształconych, dla których też głównie napisanem zostało, chociaż i wykształceni znaleść tu mogą niejedną pożyteczną wiadomość. Nadewszystko zaleca się ono dla niższych oficyalistów gospodarskich, na których nieudolność i niemoralność ze wszelkich stron dają się słyszeć uzalania; z niego nabędą potrzebnych w swym zawodzie wiadomości, a poświęcając chwile wolne od obowiązkowych zatrudnień pożytecznemu czytaniu, i moralnie podnosić się będą.

Prenumeratorem *Gazety Rolniczej* i *Opiekuna Domowego*, mają prawo do otrzymywania tego dzieła po połowie ceny księgarskiej, to jest po kop. 50 (złp. 3 gr. 10) za egzemplarz, około 500 stronie druku obejmujący. Zgłaszać się należy franco do Redakcji, Ulica solna Nr. 715 (18 nowy).

**Kalendarz Rolniczy na rok 1871.** Powszeczne uznanie użyteczności, a nawet potrzeby tego wydawnictwa, objawione przez ziemian nader pochlebnem przyjęciem onego w roku bieżącym, oraz liczne ze wszelkich stron nadchodzące zachęty, skłoniły nas do wydania podobnego Kalendarza na rok następny 1871. Wszakże, uwzględniając słuszne zarzuty, postaraliśmy się takowe na rok przyszły ile możliwości usunąć. Przedewszystkiem zatem format, który okazał się w użyciu niepraktyczny zmienionym zostanie w ten sposób że część kieszonkowa, będzie znacznie, bo o cal prawie węższą, a więc dogodniejszą do pomieszczenia w kieszeni. Część zaś druga otrzyma format większy.

Kalendarz ten wyjdzie na widok publiczny w początku miesiąca Grudnia r. b.; cena jego rsr. 1 kop. 20 (złp. 8). Pieczęcie wraz z zamówieniami, przysyłać należy pod adresem Redaktora *Gazety Rolniczej* w Warszawie, ulica Solna Nr. 712 (nowy 18).

Panowie ziemianie i przemysłowcy, tak z Warszawy jak z prowincji, życzący aby ogłoszenia ich w tym Kalendarzu zamieszczonymi zostały, raczą takowe wcześniej nadsyłać pod powyższym adresem wraz z należnością w stosunku rsr. 5 za stronicę druku.

### WIADOMOŚCI GOSPODARSKIE.

*Kluski Saskie z bułek, z wędzonką i owocami.*

Dzień wprzódy nim się ta potrawa daje, wędzonka powinna być ugotowana zupełnie miękko i wyjęta z sosu.

Na drugi dzień gotują się owoce: nie bardzo drobno pokrajane gruszki, jabłka, śliwki suszone lub świeże obrane ze skórek i z pestek. Kluski robią się następującym sposobem: Wziąć dwie bułki mączkowe czerstwe, utrzeć na tarce i przesiać przez durszlak, żeby nie było grubych kawałków, dodać sporą łyżkę mąki, kwaterkę śmietanki, łyżkę stołową araku, soli, cokolwiek kwiatu muszkatoowego, drobno tłuczonego, masła topionego i wystudzonego łyżkę, sześć żółtek mocno ubitych z cukrem, wszystkie białka ubite na pianę, i razem ubijać pół godziny.

Gotować trzeba dając na stół w obszernym rondlu, żeby się nie zlepily, tak jak kluski francuskie kładąc łyżką w gotującą się wodę lub rosół. Na próbę najlepiej ugotować parę klusek, dla przekonania czy ciasto nie za rzadkie lub za gęste, aby dodać bułki tartej lub śmietanki.

Najpierw wyłożyć owoce gotowane na półmisek, wędzonkę pokrajaną w plasterki rozgrzaną w sosie z dnia przeszłego, a na wierzch kluski.

Do tej potrawy podaje się osobno masło zrumienione.

Marja S.

### KORESPONDENCJA.

Pani Jadwidze W. z R. Ładna suknia muslinowa ubrana i czy to poul de soie, czy atlasem, może kosztować u p. Kuhnke 30 rs.

Tytułowa od 35 do 40 rs. W miejsce atlasu lub poul de soie, można ją ubrać kwiatami. Przybranie może być zastosowane do gustu.

**Listy i przesyłki pieniężne** na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Zabia Nr. 956 dom dawniej Krzemieńskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami i forma kaftaniczka marynarskiego do pokoju i zwyczajnego rozcinanego.

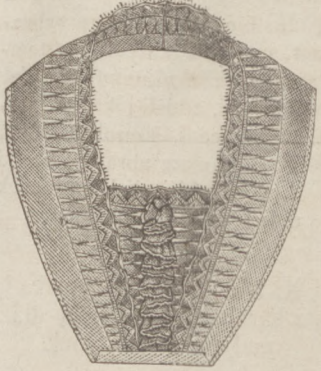


Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszowego dołączonego do N. 42 Tygod. Mód.

N. 4. Garnirunek w zęby z siatkowej gipiury.

Z cienkich według woli nici zrobiona siatka dzierga się od brzegu i poszywa dokładnie na N. 4 oznaczonym deseniem.

Zęby te do różnych służyć mogą użytków: na gotowalnię,



N. 1. Szmizetka w kontrafaldki.

stoliczki, do oszycia obrusa kościelnego, wyłożenia ambony, firanek, rolet itd.

N. 5-6. Umbrelka na lampę.

Materiał. Srebrna kanwa, pasowa angielska włóczka w trzech cieniach, jasno pasowa i czarna filozela. Ze srebrnej kanwy kraje się według miary globu lampy, 5 albo 6 oddzielnych części na 16 i pół cent. długich, 11 cent. szerokich, od dołu zaokrąglonych, a do góry na 4 i pół cent. skosno ściętych. Każda



N. 4. Pomela.

N. 3. Kapelusz marynarski.

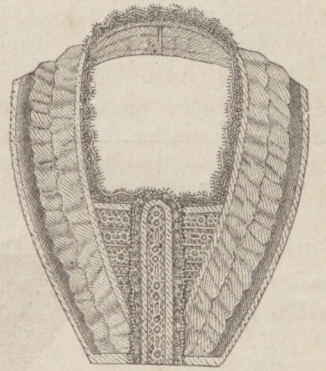
N. 6. Kapturek z czarnego tiulu.

N. 5. Kapelusz okrągły z woalem.

N. 9. Szydełkowa koroneczka z pikotami.

Najpierw odrabia się górna część koroneczki w poprzek, zaczynając od \* 25 w. o. następnie w odpowiednich przer-

z tych części ozdobiona jest dużą i małą gwiazdą wyszytą długim ścięciem cieniową włóczką, czarna filozela tworzy najciemniejszy a jasno pasowa cień najjaśniejszy. N. 6. przedstawia rysunek gwiazdy właściwej wielkości, mniejsza gwiazda ma średnicy 9 kanwowych dziurek, i odrobiona jest w dwóch barwach pasową włóczką i czarną filozelą. Brzeg każdej części umbrelki oszyty jest do koła nierozcinaną frendzelką, której sposób wykonania niejednokrotnie już podawaliśmy. Kokardy pasowe wiążą oddzielne części niżej środka.



N. 2. Szmizetka w bufy.

N. 7-8. Dwie wstawki z koronkowej i zębatą plecionki, szydełkowej i koronkowej roboty.

Sliczna ta robota, ładnie wygląda na wstawki do poszewek, na przody do bluzek, i do kaptaników białych.



N. 7. Kostium z tuniką i kaptanikiem.

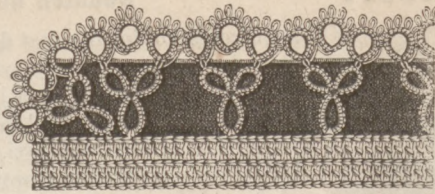
N. 8. Suknia z gładkim stankiem baskiną i szarfą.

N. 9. Kostium z luźnym paletotem.

N. 10. Suknia z pelerynką.

N. 11. Suknia z tuniką.

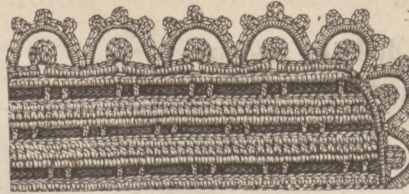
wach co 3 o. w łańcuszku, robi się 3 o. dalej 2 razy po 2 a na ostatku 3, tune-  
tańskim ścięciem na drut zebrać, i wszystkie po 1 spuścić. Listeczki skła-  
dają się z 4 w. o. i pikota. Po ostatnim robi się z  
wolnych oczek, półkole, i znowu, najpierw 5 w. o. dalej 1 śc. 1. zahaczony  
o początkowy łańcuszek, jeszcze 3 w. o. 1 śc. 1. a ostatniej w. o. na zakończenie pikota, i zakończenie okrągłych łuków,  
znowu 1 śc. o. w małym dolnym półłuku. Powtórz od\*.  
Wykonanie długich, górne obrobienie tworzących rzędów, robi się w. o. i śc. o. jak rycina N. 9 wskazuje.



N. 12. Stojący kołnierzyk z frywolitów.



N. 14. Teka do papierów.



N. 13. Stojący kołnierzyk szydelkowy.

W deseń alpaki, ubrana jest siepaną skośną ruszą na 4 cent. szeroką, która u dołu spódniczki, góry staniczka i rękawów tworzy kwadraty, zdobne niebieskim atlasowym guzikiem. Pasek 3 i pół cent. szeroki, na sztyty dwa razy aksamitką spina się z tyłu na 4 cent. duże rozetki; także rozetki zdobią przód spódniczki.

N. 15. Długa sukienka przybrana ruszami i frendlą.

Niebieska alpakowa sukienka ma dolnego obwodu 232 cent. a długości 83 cent. Na 5 cent. od dołu przybrana jest plisną na 1 i pół cent. środkiem białym przestębnowaną jedwabiem, która ginie pod ubraniem na przodzie. Przód ma bogaty przybór łukowaty, z białej 4 cent. szerokiej angorowej frendlzi i 4 i pół cent. szerokiej ruszy. Kokardy kończą ubranie. Szelki z niebieskiej pliski staniczek ubierają.

N. 10. Szydełkowa koroneczka z podwójnymi łukami.

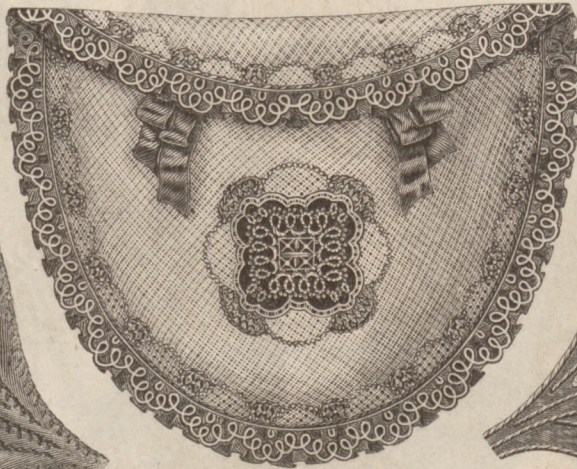
Łatwa ta i zupełnie prosta koroneczka, dostatecznie jest objaśniona rysunkiem.

N. 11. Patarafka pod lampę.

Mozajka, z żółdździ, szydek, nasion itd. Tekturowe kółko 24 cent. duże wykłada się w samym środku pasowem sukniem, a brzeg do koła brązowym jedwabnym papierem, spód zaś można podłożyć zielonym perkałem lub papierem także. Na ostatku dopiero układa się brzeg w lesie uzbieraną mozajką, i pociąga wszystko brązowym kopalowym lakiem.



N. 15. Liście do teki. Zob. ryc. 14.



N. 17. Torebka do drobiazów toaletowych.



N. 16. Liście do teki. Zob. ryc. 14.

N. 16. Muślinowa bluzka z karbowaną falbanką dla małych dziewczynek.

Tak na przód jak i na plecy bluzki, układa się muślin w zakładeczki, lub wybiera materiał którego gęste paski je nasładowują. Obie plecowe części bluzki mają obręb 1 1/2 cent. szeroki, do którego przyszywają się guziki i gładki pasek na 2 cent. ażeby bluzka się niewysuwała. Rękawek u góry przymarszczony, u rączki ściągnięty, kończy się spiczastym mankietem w zakładeczki, przybrany wszywką, falbanką i koroneczką.

N. 17. Muślinowa bluzka w zakładeczki

Do bluzki tej dodaje się płócienny kołnierzyk i mankiety haftem ozdobione.

N. 18—19. Dwie torsady z zszywanego sznura, do zakończenia frendlzi koronkowych brzeżków, lub jako dopełnienie fałdowanych garnirunków.



Za pomocą wzoru, można ta-  
nim kosztem piękną torsadę zro-  
bić, z kupnego na łokcie  
sznurka.

N. 20—21. Lambrekina na etażerkę. Haft i aplikacja.

Materiał: N. 21. Szydełkowa rozeta z czarnego jedwabiu.

Pasowe i wiśniowe sukno, czarny aksamit. Kordonki w kolorze żółtym, zielonym, pasowym, wiśniowym dwóch cieni, czarnym, białym i popielato srebrnym. Cieniowane jedwabie, zielone i drzewno-brązowe, wążka złota plecionka, i złote nici.

Szlak przedstawiony pod N. 20 ma 49 cent. w dolnym obwodzie, 20 i pół cent. szerokości w środku, 4 cent. długości a 6 i pół cent szerokości u bocznych zębów; środkowy ząb właściwej wielkości przedstawia N. 21. Na tle z pasowego, sukna złotą delikatną kratką ozdobioną, robią się łańcuszki i kropeczki złotym jedwabiem, co stanowi dolną część



N. 20. Rozeta z liści jedwabnych i roboty szydelkowej.

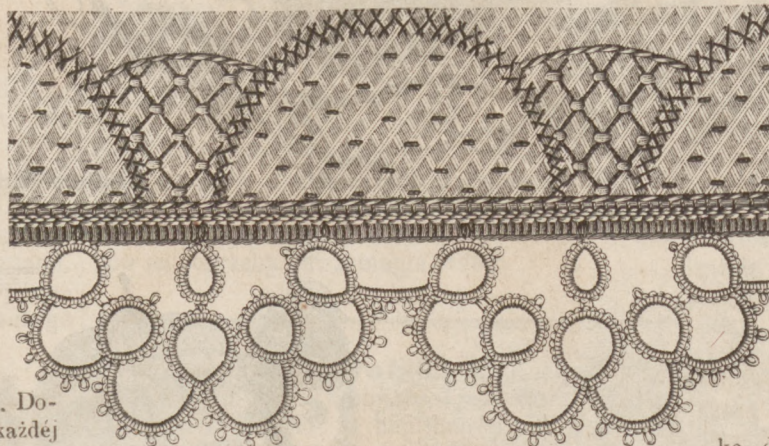
ską włóczką. Z obu stron odgranicza je jedno krzyżkowy pasek z żółtej filozeli. Między temi pasami idzie jeszcze jeden pas na sześć krzyżyków szeroki, na którym się robi poprzecznie podwójne krzyżki, czyli trzy rzędy krzyżyków, z popielato srebrnej włóczki i białej filozeli, w środkowy rząd popielatych krzyżyków podkłada się ciemniejsza popielata nitka, którą się poprzecznie skośnymi ścięgami z białej filozeli przytwierdza.

N. 14. Sukienka przybrana ruszą, guziczkami i rozetkami.

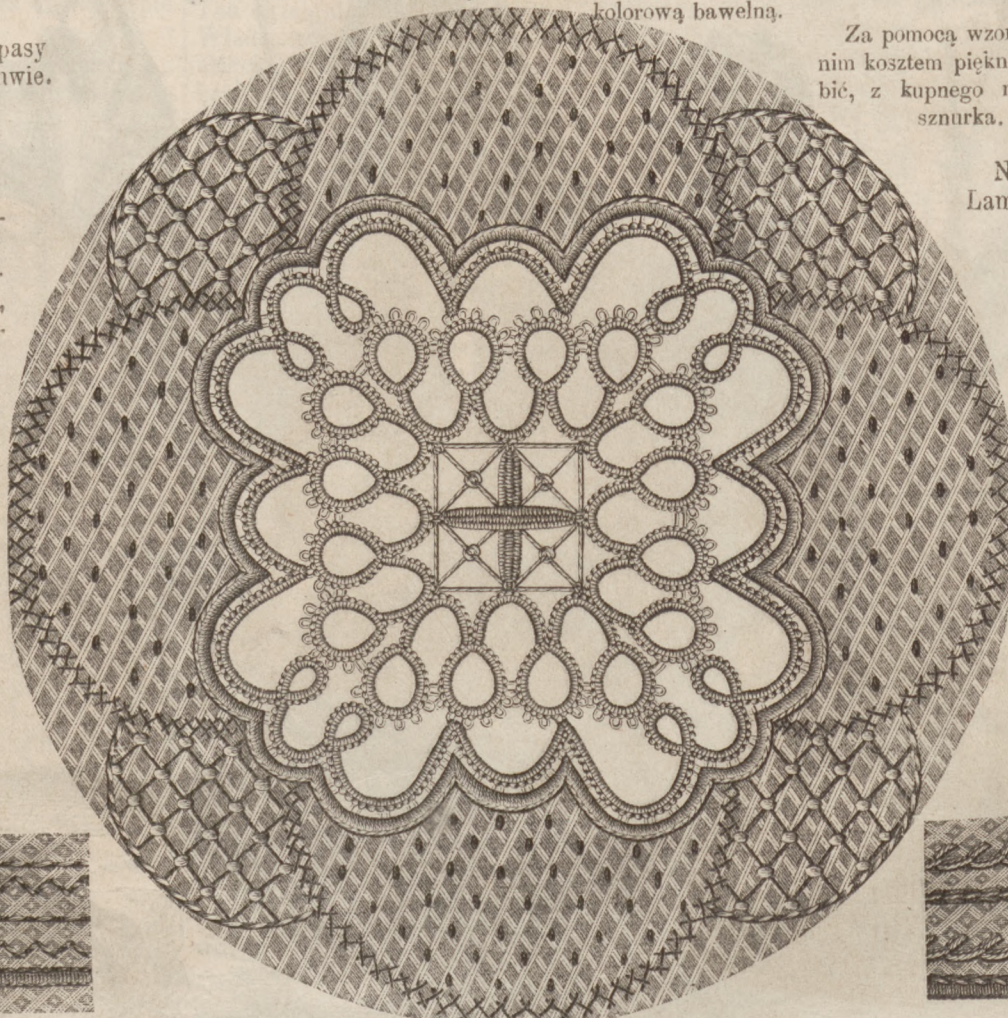
Sukieneczka z białej lub czarnej

N. 13. Deseń w pasy na zwyczajnej kanwie.

Na 5 krzyżyków szerokie pasy, robią się zwykłym sposobem w dwóch cieniach po 5 krzyżyków w skośny kwadrat, w filozelkowej, pasowej, zielonej lub niebieskiej barwie angielskiej.



N. 18. Szlak do torebki ryc. 17. Frywolity i wyszycie kolorową bawełną.



N. 19. Deseń środkowy na torebkę, do drobiazów toaletowych. Do ryc. 17.

N. 22. Deseń na białą pikę do ozdoby sukienek dla dzieci.

N. 23. Deseń na białą pikę do ozdoby napierśników dla dzieci.



szlaku; tym samym kolorem odrabiają się zębki, jak również łuki, i wązka górna bordiurka.

Następnie część druga haftuje się na aplikacji z czarne-

go aksamitu i wiśniowym suknie na przemian, której przyszyte pokrywa złota plecionka, czarnymi ścięgami przytwierdzona; wermiselowy desenik odrabia się zielonym jedwabiem na tle czarnym pojedynczo, podwójną zaś nitką na tle z sukna wiśniowego. Pojedyncze punkciaki są złotą nitką zrobione, a zęby w dwóch cieniach wiśniowych długim ścięgiem wyszyte, na tle zaś czarnym przewian i złotym kordonkiem; drugi rząd zębów jest na przemian zielony i pasowy, ścięgi pojedyncze żółte. Rzuciek dopełniającej ozdoby tła, robi się atłaskiem z białego jedwabiu popielato cieniowanym, srodek złoty. Zielony cieniowany jedwab służy na listki a brązowy na gałzki.

N. 22. Chustka do nosa z szerokim obrębem i atłaskowym rzutem.

Na 3 cent. szeroki obręb ażurkiem zrobiony, zdobi rzut atłaskowy dwoma rzędami. Ten sam rzut chusteczkę aż do girlandki kolisto otacza. W jednym rogu umieścić można cyfrę odpowiednim haftem.

N. 23. Chustka do nosa batystowa z haftowanym brzegiem.

Łącuszek otaczający górny brzeg chusteczki haftuje się atłaskiem, dolny zaś brzeg składa się z dziurek tworzących zęby. Każda dziurka ma średnicę pół cent. i ładnym pajęczkiem się wypełnia.

N. 24—25. Cyfry na haft atłaskowy.

N. 26. Siatkowy szlaczek do zakończenia chustek, peleryn robionych na drutach lub szydelkiem.

Zupełnie z włóczki zrobiona siatka, wyszywa się także włóczką samą lub włóczką z jedwabiem, co stanowi śliczne dopełnienie roboty.

N. 32. Guzik z szydelkowym obrobieniem.

N. 27—30. Na drutach robiona pelerynka.

Materiał: 4 luty białej lub kolorowej angorowej włóczki, stalowe druty, jak do pończoch welnianych.

Pelerynkę na drutach gładko zupełnie robioną w jedną i drugą stronę podszywa się do samego brzegu jedwabiem kaszmiernym lub flanelką, albo bez podszywki używać ją można. Wzór przedstawia pelerynkę z białej angorowej włóczki na 70 cent. długą w plecach, 54 centy. z przodu, a 105 mającą na każdą połowę obwodu dolnego. Wykrój szyi 22 cent. wynosi. Najpierwej odrabia się poprzecznie korona, brzeg dolny zdobiąca (N. 27), która zaokrąglone rogi i cały przód ubiera.

N. 34. Kostium z tuniką i kaftanikiem. Garnirunek faldowany.



N. 26. Garnirunek do sukien, paletotów i kaftaników.



N. 27. Talma z flanelki w pasy.



N. 31. Kaftanik do kostiumu ryc. 30.



N. 30. Kostium z falbanki.

Wypada jej zrobić od 315—320 cen; u szyi na samym końcu koronka jako stojący kołnierzyk się obrabia.

N. 31—32. Chusteczka na drutach.

Materiał: 2 luty kolorowej, a 1 lut białej cieniłej angielskiej włóczki.

Chusteczka na cienkich drewnianych drutach zrobiona jakiej kto zechce wielkości może być zarówno jako zarzutka na głowę, jak i na szyję noszona. Rysunek przedsta- wa chusteczkę z niebieskiej włóczki 66 cent. w kwadrat mającą, białem obrobioną do koła. Zaczyna się ją na 100 oczek tam i napowrót robiąc. Deseń stanowią przezroczyste kwadraciki, które co 12 rzędek się powtarzają.

Skoro robotą chusteczki dostatecznej wielkości się ukończy, nabiera się znowu oczka na druty i obrabia do koła wązkim szlaczkiem, który N. 32 wskazuje, przybierając na każdym rogu po 24 oczek. Siatkowa koronka pod N. 26 podana, może dopełniać chusteczkę.

N. 33—34. Szal na drutach jako kapturek na głowę.

Materiał: Biała lub kolorowa włóczka angorowa, trochę czarnej i na 1 cent. szeroka czarna aksamitka. Grube stalowe druty.

Ładny ten i wygodny szalik z wielkim wdziękiem ubiera głowę i zabezpiecza od zimna. Ma on 300 cent. długości a 30 szerokości, końce jego mogą być zupełnie równe lub spiczasto zakończone, w każdym razie zebrany szalik lub spiczasty jego koniec kwast włóczkowy lub angorowa frendzla dopełnia. Jeżeli chcemy szalik na kapturek zamienić, dodaje się jeszcze 40—50 cent. na dłużej jego i zszywa brzeg od środka na 20—25 cent. długości. Robiąc w tę i tamtą stronę poprzecznie odrabia się deseń N. 34 wskazany, również deseń pod N. 29 zdać się może.

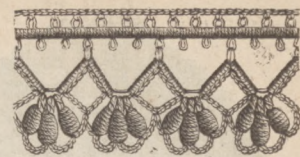
N. 33. Guzik z frywolitowym obrobieniem.

### Opis dodatku N. 43.

N. 1—2. Dwa szmizetkowe kołnierzyki.

Dwa kawalki muslinu 42 do 44 cent. długie a 3—5 cent. szerokie, zszywają się skośnie z tyłu aby za bardzo kołnierzyk na kark nie zachodził. Pasy te łączy zakładka przyszyta z jednej i drugiej strony, a środkiem na guziki pięta; zakładka ma długości od 11—14 cent. szerokości zaś w górze od 7—9, a tym muslinie naszywa się dopiero rozmaite garnirunki z tulu, koronek; bufek itd. jak to niżej umieszczony opis wskazuje.

N. 35. Kostium z tuniką i kaftanikiem. Garnirunek z plis, frendzli i falban.

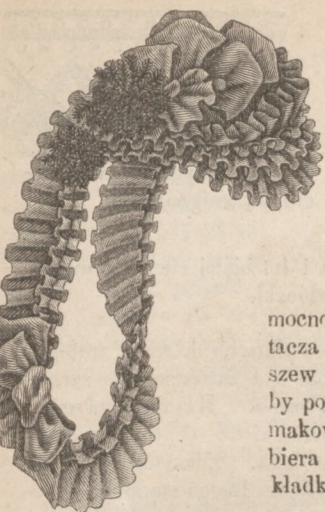


N. 1. Układana w fałdy szmizetka.

Powyższym sposobem przygotowane pasy z tiulu, naszywają się 3 cent. szerokim kawałkiem, który należy ułożyć w grube środkiem rozdzielone kontrafaldy. Na 1 cent. szeroka

mocno zfronżowana koronka otacza cały wykroj szmizetki, szew zaś pięknie haftowane zęby pokrywają. Marszczona i sli-makowato naszyta koronka ubiera również przedni obręb zakładki.

N. 2. Szmizetka w bufy.



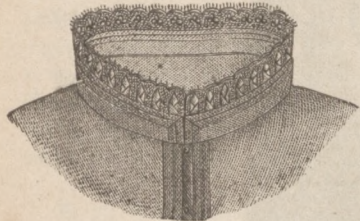
N. 36. Kapelusz wiązany.

Z kawałka tiulu 3 cent. szerokiego układa się na tiulowej szmizetce dwie bufy zwięzione ku

dolowi. Na 1 centym. szeroka zmarszczona koronka, otacza w kolo bryty, które wstaweczka haftowana na pół centymetra odgradza od koronki. Zakładka cała składa się z wstawek a na obrębie ma rodzaj zabota obrzeżonego koronką.



N. 3. Kapelusz marynarski. Popielaty słonjany kapelusz



N. 40. Kolnierzyk krepowy do żaloby.

otacza czarna na 3 cent. szeroka aksamitka z boku zakończona płaską kokardą, od której idzie gałązka róży różowej.

N. 4. Kapelusz Pamela.

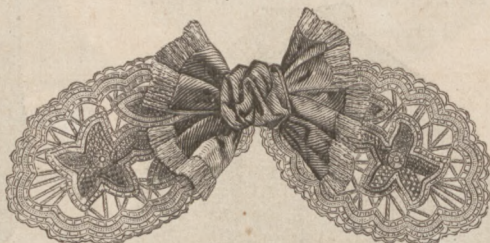
Z fijołkowego rypsu kapelusz ten ma podwójne objęcie z atlasu tejże barwy; zrecznie związany węzeł na diademie jest również z atlasu. Na 2 i pół cent. szeroka



N. 48. Suknia przystrojona aksamitem i koronką „Bruges.“



N. 38. Bluzka z garnirunkiem w bufy.



N. 39. Kokarda pod kolnierzyk z gipiurą Irlandzką



N. 44. Tiulowa kokarda z koronką.



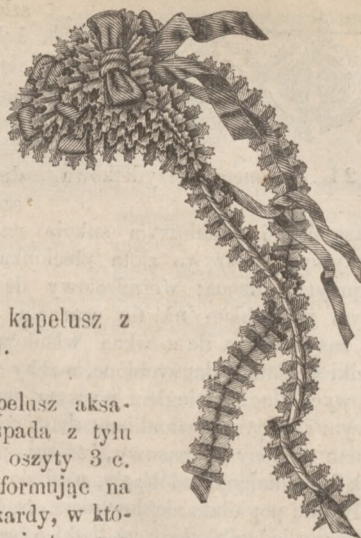
N. 46. Stanik pod szyję z baskiną.



N. 47. Muslinowa kokarda do kolnierzyka.

wstążka a 70 cent. długa frendzlą oszyta, tworzy piękny naszyjnik, który spina z boku płaska z końcami kokarda.

Wstążka ta okala cały tylny brzeg kapelusza i ginie pod kokardą która z wierzchu wraz z bukietem bratków, zdobi pamele.



N. 5. Okragły kapelusz z woalem.

Na okragły kapelusz aksamitny w rzucik, spada z tyłu tiulowy długi woal oszyty 3 c. szeroką koronką, formując na wierzchu bufy i kokardy, w które efektownie wpięty jest czarny jedwabny węzeł i piórko.

N. 6. Czarny tiulowy kapturek.



N. 42. Mankiet do ryciny 42.



N. 45. Krawatka atlasowa.

w czarną kratę. Na tunikę i bawecik fasony podawane już były.



N. 43. Kolnierzyk stojący z wyłożonemi rogami.

N. 7. Kostium z tuniką i kaftanikiem.

Popielata gładka suknia ma u dołu falbanę zaprasowywaną i plisy z materiału popielatego

już były. Na tunikę i bawecik fasony podawane już były.



N. 49. Ubranie stanika z aksamitu i koronki.